

Cena 20 gr.
Nr 49 Rok 43
5. XII. 1937

Prze
wod
nik
•
Kato
licki

Ilustrowany
tygodnik
dla rodzin
katolickich

Redaktor
założyciel
X. Józef Kłos

Redaktor
naczelnny
X. Fr. Forecki

•••••

Św. Jan
Chrzciel
na puszczy

Czytaj artykuł
na str. 801

•••••



Zmierzch cywilizacji zachodniej

Nieraz słyszy się zdania o zmierzchu cywilizacji zachodniej. Muszą być jakieś przyczyny tych sądów. Zachód chlubił się swoją cywilizacją. Imponował nią ludom wschodnim.

Ale rychło Wschód zaczął gardzić tą cywilizacją, która na ustach miała Boga i chrześcijaństwo, a w postępowaniu gwałt, podstęp, oszustwo, ni-szczenie.

Kto winien, że takie sądy powstały o chrześcijaństwie i o kulturze zachodniej u narodów niechrześcijańskich, ale mających za sobą daleko starszą cywilizację niż Zachód? Oczywiście ci, co szli na Wschód nie dlatego, aby go cywilizować, ale — wyzyskać.

Dwie kategorie ludzi szły na Wschód: misjonarze i handlarze. Byli to handlarze w najszerszym tego słowa znaczeniu, którzy opanowywali i towar i ludzi i ziemię. Co więcej, chcieli się posługiwać misjonarzami, aby ci torowali im drogę. Za krzyżem wciskał się handlarz i żołnierz.

Kościół katolicki rychło spostrzegł się na tej handlarskiej chytrności. Kościółowi szło o nawrócenie, handlarzom o wyzyskiwanie. Pius XI w misyjnych swoich encyklikach wyraźnie polecał katolickim misjonarzom, aby na misji byli ambasadorami Chrystusa i Kościoła, a nie swoich ojczyzn. Stąd powodzenie katolickich misji, stąd ufność tubylców, czy to będą Chińczycy, czy Japończycy, czy Hindusi. Stąd powstawanie tubylczego kleru, który sam obejmuje misyjną rolę i tworzy wśród swojej narodowości kościelną hierarchię.

Czy może być lepszy dowód ciągłej żywotności nauki Chrystusowej i tej prawdziwej cywilizacji chrześcijańskiej, która na tej nauce się opiera?

Nie można bowiem mówić o cywilizacji chrześcijańskiej bez wprowadzenia jej w życie zarówno prywatne jak społeczne i państwowe! Nie można mówić zwłaszcza tam, gdzie postępowanie państw jest sprzeczne z zasadami chrześcijaństwa i to nie z powodu słabości ludzkiej natury, nie w jakimś poszczególnym wypadku, ale w samych zasadach postępowania! Wszak głosi się w zasadach polityki państwowej, w regułach tajnej czy jawnej dyplomacji, że inne zasady moralne obowiązują jednostki, a inne — państwa. Wniosek z tego byłby taki, że branie udziału w kierowaniu polityką państwa musi doprowadzać do wyrzeczenia się moralnych zasad chrześcijaństwa, czyli że polityk musi znieprawiać chrześcijanina.

A jednak już na jednym polu, wymagającym społecznej współpracy, każdy niemal dzień przynosi dowody, że bez moralnych zasad Chrystusowych musi przyjść załamanie się, przesilenie, z którego nie ma innego wyjścia jak powrót do tych zasad. Jest to pole gospodarze — pole przemysłu, handlu, rolnictwa, kapitału i pracy. Triumfuje tu nauka Chrystusowa, zwycięstwo odnosi Kościół. Na każdym kroku bowiem pokazuje się, że współpracować nad wytwarzaniem dóbr ziemskich, potrzebnych do życia i współżycia, można tylko z jednostkami i społecznościami moralnymi i religijnymi w najgłębszym znaczeniu tego słowa.

Zmierzch cywilizacji zachodniej, o którym wciąż się mówi, nie jest zmierzchem chrześcijaństwa. Jest zmierzchem tej cywilizacji zachodniej, która chciała uchodzić za chrześcijańską, ale nią już nie była. Co więcej, tej cywilizacji zachodniej, która tyle chrześcijaństwu zawdzięcza, od dawna już chrześcijaństwo zawadza.

Miłość Boga i miłość bliźniego stały się dla niektórych państw zasadami dla ich interesów szkodliwymi. Państwo, naród, rasa, krew, ziemia, pieniądź staje się dla nich najwyższym prawem. Jesteśmy świadkami otwartej już walki wypowiedzianej miłości Boga i bliźniego. Bogów robi się z państwa, władców, narodu, rasy, krwi, ziemi, pieniądza. Bóg prawdziwy, Chrystus, tym bożkom zawadza.

Gdzie ginie miłość Boga, tam musi też zginąć i miłość bliźniego, miłość człowieka i wartość jednostki. Człowiek przestaje być sobą i osobą, odkupioną przez krew Boga-Człowieka, przeznaczoną do życia wiecznego. Coraz bardziej, coraz szybciej staje się największym w dziejach świata niewolnikiem. Są państwa, które opuszczają Boga i chcą Go wywłaszczyć z władzy nad człowiekiem. Nie dając życia ani nie mogąc stworzyć niczego, co żywi, chcą być panami życia i śmierci, chcą człowiekowi dyktować, w co ma wierzyć, objawiać nowe wiary.

Oto jest zmierzch cywilizacji Zachodu, zmierzch, prowadzący za sobą noc, pozbawioną słońca. To nie zmierzch chrześcijaństwa — to zmierzch anty-chrześcijaństwa, zmierzch tej cywilizacji, która odtrąciła Chrystusa i Jego prawo.

Czyli innego czekamy?

Druga niedziela Adwentu

Św. Jan doznaje we więzieniu wielkich wątpliwości. Coraz więcej i coraz nowe dochodzą go wieści o czynach Jezusowych. Ale czy On jest naprawdę tym oczekiwanym Mesjaszem? Czemu w takim razie nie zakłada Swego królestwa? Czemu poprzestaje na jego głoszeniu? Czemu nie ogłasza potępienia na ciemności Swego narodu? Czemu nie zasiada na Syjonie, gdzie już przygotowany jest Jego tron?

Idą więc uczniowie Janowi do Chrystusa i pytają: „Tyś jest, który ma przyjść, czyli innego czekamy?”

On snadź widząc ich niepewność, odpowiada: „Błogosławiony, który się ze mnie nie zgorszy”.

Przecież drogi Boże nie są drogami ludzkimi. Bóg nie dla uznania ani poklasku taniego pracuje. Choć nie zawsze w sposób widoczny, jednak działa. Zakłada Swe królestwo. Zdobywa członków. Zyskuje zwolenników. Gruntuje swe władanie. Czyż mało mówi to, że „ślepi widzą, chromi chodzą, trędowaci bywają oczy-

szczeni, głusi słyszą, umarli powstają, ubogim Ewangelię opowiadają”. (Ewang.) To wszystko Jego dziełem. A każdy z tych uszczęśliwionych, to nowy apostoł. Idzie do swoich i głosi, że Chrystus jest wśród nas i dobrze czyni.

Nie zawsze czujemy obecność Pana. Są chwile, że nam się zdaje, iż zostaliśmy sami, skazani na własne siły i środki. Wtedy bierze nas strach i lęk, co dalej? Czy Pan przyjdzie? Czy pospieszy z pomocą? Czy nie zawiedzie naszych nadziei?

Próżna obawa. Mamy zapewnienie, że „Pan przyjdzie, iżby zbawił narody”. (Intr.) A „cokolwiek napisano, ku naszej nauce napisano: abyśmy przez cierpliwość i pociechę Pisma nadzieję mieli”. (Lekc.)

Ta nadzieja nas krzepi.

A co ważniejsze, ona w nas sprawić ma, abyśmy „jedno między sobą rozumieli według Jezusa Chrystusa”, byśmy „jednomyślnie, jednymi ustami czcili Boga i Ojca Pana naszego Jezusa Chrystusa”. (Lekc.)

W tym duchu czynić mamy przygotowania. W ten sposób nastroić musimy

swoje serca. I tego chcemy, gdy dzisiaj prosimy Boga: „Pobudź, Panie, serca nasze do przygotowania dróg Synowi Twojemu Jednorodzonemu, abyśmy przez przyjście Jego, oczyszczoną z grzechów duszą służyli Ci mogli” (Oracja).

Przyjście Pana jest pewne: „Pan przyjdzie”, a „jawnie przyjdzie”. Chce jednak, byśmy się przygotowali. Chce naszego współdziałania. Chce w nas widzieć siłę i moc. „Coście wyszli na puszcze widzieć? Trzcinę chwiejącą się od wiatru?” (Ewang.)

W tych słowach zawarte są i dla nas wskazówki.

Wśród morza sprzeczności dzisiejszego świata, wśród zalewu idącego zewsząd zła trzeba nam stać silnie i mocno. Nie wolno się chwiać. Potrzeba pokoju i równowagi. Trzeba silnej a ułnej wiary w nieziszczalną moc i potęgę nauki Zbawiciela. Trzeba stanąć ponad wszystko, co słabe i chwiejne, co zmienne i nietrwałe: „Stań na miejscu wysokim, a obacz wesele, które przychodzi tobie od Boga twego!” (Komunia.)

Ks. Roman Mielniński.

KS. PIOTR SKARGA

NARODZENIE CHRYSYUSA PANA A NARODZENIE SW. JANA CHRZCICIELA

Chcąc Czytelników Przewodnika Katolickiego nakłonić do rozważania dzieł Skargi, zwłaszcza jego kazań i żywotów świętych, przytaczamy urywek, w którym Skarga porównuje narodzenie Pana Jezusa i św. Jana Chrzciciela. Posłuchajmy, z jaką prostotą, prawdą i mocą to porównanie przeprowadza.

„Gdy przyjść miał z wysokości Bóg w ciele ludzkim, aby nas oświecić w ciemnościach i wyjąć z niewoli wiecznej i gniewu Boskiego, rozgłosił przyjście swoje dawno obiecanie u proroków, przesławnym Janem jako posłańcem swym, aby się ludzie osłuchawszy, do przyjęcia tak niewysłowionego dobrodziejstwa i do poznania Króla i Zbawiciela i Boga swego w ciele i widomie idącego, nagotować mogli.

Posłał przed sobą wielką i głośną trąbę, człowieka, cudy dziwnymi przy narodzeniu, żywotem niesłychanym i nauką straszliwą wsławionego, iż wszystka ziemia żydowska, która najpierw Mesjasza czekała, oko i uszy swoje podnieść nań i obrócić musiała. A kto się temu wydziwić mógł i na te się rzeczy zdumieć?

Dziecię jeszcze nie poczęte w żywocie, z nieba się przez wielkiego posła Gabriela, przy ofierze pospolitej (która tylko raz w rok w wielkiej kupie ludzi wiernych bywała) przy ołtarzu w kościele zwiastuje i mianuje.

Ojciec widzeniem Anielskim zastraszony, niedowiarstwa swego karanie odbierając, mowę traci.

Matka stara, z przyrodzonego biegu nieplodna, rodzi. Po porodzeniu ojcu się nieme usta i związany język na chwałę Bożą i prorocstwo otwiera. Dziecię w żywocie prorokuje. Jeszcze na świat nie wychodząc, matkę naucza i Pana jej, któremu się kłaniać miała, w żywocie Panińskim ukazuje. Nie czekając wzrostu ciała na nędze krępkiego i twardszego na cierpienie, na puszcę wychodzi, od ludzi się kryje. Pustelniczy a ostry żywot wiezie. Pokarm jego szarańcza, robaczki, miód

leśny. Chleba, wina, mięsa nie zna. Odzienie jego sierść wielbłądowa, poduszka jego kamień, ziemia łoże, pokrycie niebo, towarzystwo zwierzęta nieme. Osierociały jako synogarlica po pustych się miejscach tuła.

A dorósłszy lat trzydziestu, nie bawając w żadnej szkole, wychodzi na naukę ludzką: Proroki wyklada, o przyjściu Mesjasza opowiada, złości gromi...

Przeto na głos tak głośnej trąby bieżeli na puszczę ludzkie. Zbiegli się panowie, ludzie pospolici, uczeni, żołnierze i wszystkie stany. Na koniec poselstwo do niego wszyscy kapłani, biskupi i uczeni wyprawili, za Mesjasza go i Króla oczekiwanego uznać, w światłości się jego takiej doczesnej, jako Pan Jezus mówi, nie czekając większej, radować i zostać chcieli.

A ona prawa nasza światłość, promienie wielkie puściwszy przed sobą, sama cicho i tajemnie przyszła. Chrystus, Pan Jana tego tak sławnego, nie chciał tak być na początku sławny jako Jan. Cicho, wzgardzenie, tajemnie i pokornie przyjść chciał.

Zwiastowanie Janowe w kościele Salomonowym, u ołtarza w wielkie święto.

Chrystusowe — w ubogiej komórcie przeczystej Panięki. O poczęciu Janowem wszystka Synagoga wiedziała. O Chrystusowem sama tylko Matka z Józefem tajemnicy onej była świadoma.

Jan w mieście głównem Jeruzalem ogłoszony, a Chrystus w Nazaret zatajony. Jan się w zacyjnym domu kapłańskim, a Chrystus w rzemieślniczym rodzi. Jan w bogatych kolebkach i pokojach, a Chrystus w żłobie i w stajni. Janowe się narodzenie w ziemi wszystkich sławi a o Chrystusowem sami tylko ubodzy i pasterze a postronni trzej królowie wiedzą.

Czemuż tak świetniejsza gwiazda niżli słońce? Sławniejszy sługa aniżeli pan? Temu się każdy dziwując, przyczyn się takich i większych dopytać może: Przyjście Pana naszego pierwsze

miało być bardzo ciche i pokorne. Ciche dla wiary i tajemnic przedziwnych i nie każdemu pojętych, z którymi się zaraz odkrywać, ku większemu by ludziom od prawdy odrażeniu było. O czym i prorok przestrzegał, mówiąc: „A kto uwierzy temu, cośmy słyszeli i ramię Pańskie komu jest objawione? Gdyż wnijdzie jako malutki krzaczek, a jako korzeń z suchej ziemi. Ozdobności w nim nie masz. Patrzeliśmy nań jako na najlichszego i między ludźmi najwzgardzeńszego”.

Trudno bardzo było ludziom o rzemieślniczym synu sądzić, iż jest Mesjasz, o tak podłym (niskim) człowieku wierzyć, iż jest Bóg, a przecież wiary tej tak trudnej żądał Bóg od ludzi, aby rzeczy tak rozumowi nie podobne, na kazanie Janowe i Kościelne wierząc, wysługi sobie u niego szukali. Przetoż na to tak zacnego i głośnego kaznodzieję uczynił, który te tak rzeczy trudne opowiadać miał, aby z takich przy narodzeniu cudów i z takich zacnych postępów wiarę u ludzi mieć mógł.

Sam będąc słońcem, do obwieszczenia ludzkiego, promienie na Janie ukazał, ale sam człowieczeństwem i niskim na świecie stanem, jako obłokiem (aby jasność jego z prędką oka słabego nie zaraziła) zapuszczony został.

Ku temu miał dać Syn Boży w pokorze swej wielkiej przykład wzgady świata tego, sławy i rodzaju zacnego, przetoż się zacie wedle świata jako Jan urodzić nie chciał, ani tak wziętych u ludzi rodziców mieć chciał.

Ażeby tajemnym i pokornym rodzeniem swym ludzie się niewiadomością nie wymawiali, posłał sługę przed sobą z tym wszystkim, czym się ludzie rychlej do wiary przywieść i czego do ogłoszenia i nieomyślnej wiadomości o przyjściu Syna Bożego potrzebować mogli.”

Do druku przygotował:

Ludwik Posadzy

STAROPOLSKIE RORATY

(URYWEK)

„Rorate coeli! Górne niebios,
Niech z was wytryśnie zbawienna rosa;
Z górnych obłoków na ziemskie niwy
Niechaj się spuści Mąż sprawiedliwy,
Niechaj się ziemska otworzy bryła,
Żeby swojego Zbawcę zrodziła!”
Tak z lzajaszem ród ludzki woła,
Takim brzmiał hymnem mury kościoła,
Kiedy nadchodzi kres wielkich godzin,
Dzień uroczysty Bożych narodzin,
Gdy się ma życie rozpocząć nowe,
Panna wężowi ma zetrzeć głowę,
Gdy stara przeszłość czeka w pokorze,
Kiedy ją wezwą na sądy Boże.

W świątyniach Pańskich przed świtem,
Blaski jarzących światła migocą, [nocą
A w swój kapłański strój przyodziani
Pańscy lewici, Pańscy kapłani,
Jak każe obrząd, swoją koleją
Kadzą ołtarze i hymny pieją.
A na ołtarzu w ofiary porę
Siedem woskowych świec jasno gore.
Lud co ofiary niekrwawej słucha,
Prosi o dary Bożego Ducha,
By w sercach rosły jako pochodnie,
By Zbawiciela powitać godnie,
Bo człowiekowi straszno w tej porze,
Czy jest gotowy na sądy Boże.

O wiaro święto! Chrystusa wiaro,
Ty przodków cnotę rodziłaś starą,
Bo ci przodkowie, ci nasi starzy
Brali hart ducha od twych ołtarzy,
Bo swoje sprawy o każdej chwili
Z Bogiem zaczęli, z Bogiem kończyli.
Siedem cnot Ducha człowiek posiadał,
A kraj ze siedmiu stanów się składał,
A w każdym stanie ziemica cała
Szczególną cnotę wygórowała,
Bo o dar cnoty ziomkom przydatnej
Błagała Boga we mszy roratnej.

Władysław Syrokomla

MĘCZENNICZY SANDOMIERSCY

„SALVE REGINA“

Było to w dniach popielcowych r. 1259. Już trzeci dzień oblegali Tatarzy i Ruś Sandomierz, a zdobyć go nie mogli. Poszli tedy książęta ruscy do Piotra Krępy, dowodzącego obroną, powiedzieć, że Tatarzy gotowi są odstąpić od oblężenia, byleby tylko okup im dać. Niechże tedy co znaczniejsi z sandomierzan przyjdą do obozu i całą sprawę ułożą. Żeby się jednak Krępa nie lękał iść ze swoimi do obozu oblegających, przysięgają książęta ruscy bezpieczeństwo posłom i zawieszenie broni na czas układów. Zawierzyli przysiędze sandomierzanie. Pięćdziesięciu co najprzedniejszych poszło do ruskiego obozu, a tam wymordowali ich Tatarzy do spółki z Rusią, po czym uderzyli na niespodziewających się napadu mieszczan, wdarli się na tyny (mury obronne), podpalił miasto i zaczęli rzeź. Rzucili się sandomierzacy do ucieczki. Jedni na gród biegają, drudzy zaś do kościoła Panny Marii, zbudowanego z białego ciosanego piaskowca. Lecz i do

Ci, którzy się na grodzie schronili, spostrzegli zaraz, że bronić się nie będą mogli, gdyż i pożywienia i wody było

ochłody: upadła z niebios łąza, a gdzie upadła, tam źródło wytrysło wody zimnej czystutkiej, do dziś zwane Stokiem Panny Marii... Inna znów łąza upadła na serca pomordowanych sandomierzan, a z nich na wiosnę wyrosła trawa, którą dziś nazywamy Łzami Matki Boskiej (drzączka, Briza media).

Sandomierzacy wybrali, jak można było przewidzieć, nie życie lecz śmierć.

Trzeciego dnia zaczęła się rzeź.

Gdy Ruś się zmęczyła mordowaniem, kazała wybić w Wiśle przereble i potopiła w nich resztę niedobitków.

Tego samego dnia w innym miejscu Sandomierza rozegrał się inny akt tragedii.

W kościele św. Jakuba, który był misyjnym na całą Ruś, a leżał na uboczu i nie był dotąd zdobyty, zebrali się o świcie dominikanie. Wraz z przeorem Sadokiem było ich 49.

Jest jutrznia. Mają czytać martyrologium, krótkie wspomnienia o świętych, którym ten dzień przypadł. Rozwarto księgę, a w księdze krwawy napis widać: „Dziś przeora Sadoka i 48 braci Dominika, okrutnie w Sandomierzu przez Tatarów wymordowanych”.

Słońce południa nie dobiegło, a bracia dominikanie legli wszyscy; a ginęli, „Salve Regina” śpiewając.

W czasie onego mordu wyrwał się z obór dominikańskich wół, wpadł na



Katedra sandomierska

za mało; nie mieli też i dowództwa. Tedy widząc niemożliwość obrony, spowiadali się przez całą noc, a nad ranem przyjęli Komunię i w procesji wyszli z grodu.

Powiedli ich Tatarzy i Ruś nad Wisłę, na błonia pod wzgórzami, które dziś nazywają się wzgórzami Matki Boskiej (dzisiejsze: Łysa Góra Krakowska, Salve Regina i Skałka) i usadzili pomiędzy Wisłą a płynącą ze wsi Kobierniki rzeczulką Łokuszą, w miejscu, zwanym Kąty albo Kąciny:

Kąty, gdyż było zapuszczone, omijane przez ludzi, a ryte przez nierogaciznę, — Kąciny — gdyż miały tam za czasów pogańskich stać świątynię Rgiela i innych bożków.

A gdy posadzono tam sandomierzaków, dała im Ruś dwa dni do namysłu nad wyborem śmierci lub przejścia na prawosławie.

W onych dniach lutowych płakała Matka Boska nad sandomierzanami, a łzy Jej padając na ziemię, znaki widome po sobie zostawiły. Tam dwoje sierot, brat i siostra, gorączką trawieni, bici przez Ruś, aby wskazywali, gdzie się ukryli żacy szkoły sandomierskiej, błaga choć o odrobinę



Zamek w Sandomierzu

kościół wlała się Ruś, zrabowała relikwie i co najcenniejsze przedmioty, zabrała z ludzi, kogo pragnęła, zaś popostałych zawarła w kościele, obłożyła go słomą i drzewem i podpaliła. Kościół był gontem pokryty, zajął się tedy na nim dach i paląc się runął na ludzi, zamkniętych w świątyni. Mnich ruski, który z kniaziami i Tatarstwem przyszedł pod Sandomierz, powiada, że w tym kościele spaliła się niezliczona ilość ludzi. Świątynia to była ogromna, jak wskazują jej mury, zawarte w murach dzisiejszej katedry; nie była prawie nic ale to nic mniejsza od dzisiejszej świątyni i mogła pomieścić do trzech tysięcy ludzi...



Kościół św. Jakuba w Sandomierzu

Tatarów i Rus, bódł i kopał tak wściekle, że przerażeni najeźdźcy zaczęli uciekać, a uciekali właśnie do onego samotnego kurhanu, pod którym mordowano sandomierzan. Wól gonił morderców i dopadł ich na owym kopcu. Tu go zabito, lecz zanim oddał ostatni

religiine za reformacji. a wreszcie i czasy dla kraju bardzo nieszczęśliwe sprawiły, że część sandomierskich męczenników prawie w zapomnienie poszła. Jak wielka ona była, niech świadczy legenda o ziemi sandomierskiej.

Było to, jak jedni powiadają, za czasów Zygmunta III, a jak chcą inni, zaraz po rzezi w r. 1259 czy też po śmierci Haliny z Krępów Pilawitowej. Ci ostatni, zdaje się, są bliżsi prawdy, a powiadają tak: Po spustoszeniu kościołów sandomierskich ołtarze ich bez relikwii stały. Udali się tedy sandomierzanie do papieża z prośbą o relikwie. Rozkazał im papież wracać do Sandomierza i zebrać ziemię, na której sandomierzan męczono i kazał sobie ją przynieść. Stało się według jego woli. Wziął papież ziemię w rękę, ścisnął ją mocno, a z ziemi krew popłynęła. Usłyszeli tedy sandomierzanie takie słowa:

— Po cóż wam relikwie obce? Wasze to, innych nie szukajcie, bo szlachetniejszych i większą siłę duchową dających nie znajdziecie...

Szły lata, a z latami zacierała się pamięć o wielkiej tragedii Sandomierza, zacierał się i napis na kopcu „Salve Regina“... Po starym Sandomierzu została tylko nazwa i pola, nad którymi dzisiaj skowronek skrzydłami trzepoce.

Razu jednego pod „Salve Regina“ orał pewien chłop...

A było to sporo lat temu... Siła chłopisko miał ziemi do zornia, nikt nie wie; starzy przecież opowiadają jedno, że orał on porankową porą, akurat, gdy w kościele św. Pawła na mszę dzwoniło. Wyprzągł chłop woły od pluga, przywiązał je u wierzby, a sam poszedł na nabożeństwo. Gdy zaś wrócił, zdziwił się bardzo, bo i pole miał doorane a i wołów pod wierzby nie zastał. Odszukał je na kurhanie, gdzie się spokojnie pasły. Wyszedł chłop na oną mogiłę i staje jeszcze bardziej zdumiony: na trawie świeci się rosisty napis „Salve Regina“.

Od tego czasu rok w rok alumni miejscowego seminarium duchownego co wiosną odnawiają ten napis, co rok

też pieśń „Salve Regina“ rozlega się z kurhanu, pod którym ma spoczywać księżę Sodomir, założyciel osiedla.

Czasami północową porą ktoś się zabłąka na Stary Sandomierz w sąsiedztwo lip św. Jakuba, a jeśli duszę ma czystą, usłyszy organy i śpiewy w starym kościele dominikańskim: to przeor Sadok i męczennicy sandomierscy swe modły conocne odprawiają.

Co rok, gdy w katedrze sandomierskiej ostatnie dymy niesporów żałobnych, odprawianych w dzień Wszystkich Świętych, rozwiewają się pod gotycznymi sklepieniami, o północy zaczynają dzwonić wszystkie dzwony w sandomierskich kościołach i w tych, po których dziś tylko wieść pozostała: św. Jana, św. Mikołaja, św. Piotra, św. Hieronima, św. Wojciecha, Marii Magdaleny i z klasztoru zamkowego, — i w tych, co dziś jeszcze istnieją: Katedrze, u św. Jakuba, św. Pawła, św. Michała, św. Józefa i u Świętego Ducha. Kto duszą niewinny, ten usłyszy te dzwony i zobaczy światła, lejące się potokami w ciemność nocną, i usłyszy śpiewy. A jeśli trwoga go nie zdejmie i jeśli zechce wyczekać do właściwej pory, ujrzy pochód umarłych: na głos dzwonów wstają z grobów męczennicy sandomierscy, wstają i spod Salve Reginy wychodzą z wiślanych fal. Gdy zaś godzina wyznaczona wybije, wychodzi pochód umarłych i z katedry i od św. Jakuba i z niestniejących dziś kościołów. Idą wszyscy na Stare Miasto, ku kościołowi św. Pawła, a stamtąd — złączwszy się — idą Trupią Drogą ku Salve Reginie. Tu na tronie szczerolotym zasiada księżę Sodomir i sąd czyni nad wszystkimi sandomierzakami, którzy w ostatnim roku zmarli. Po skończonym sądzie pyta, czy kościół św. Jakuba już jest pokryty szczerolotym



Widok na wzgórze Salve Regina od Krakówki

dech, zdażył wyrycić rogiem na ziemi napis „Salve Regina“.

Nie wszystkich sandomierzan wymordowano. Część ich zbiegła w okoliczne lasy i bagna, inni znów ocalili w podziemnych schronach i lochach, które jeszcze i dziś to tu, to tam dadzą się w mieście i za miastem odszukać.

Wśród ocalałych znalazła się i Halinka, córka zamordowanego przez Rus dowódcy sandomierzan, Krępy.

Od owej rzezi przeszło dwadzieścia kilka lat. I znów Tatarzy spadli na Sandomierz. Miasto nie było gotowe do obrony, toteż wkrótce powinno być zdobyte.

Wśród obłożonych znalazła się i wspomniana Halina, w onej chwili już wdowa po Jasku Pilawicie, który właśnie poległ przy tym obłożeniu. Halina straciła przez Rus i Tatarów zarówno ojca, jak i męża, postanowiła tedy pomścić ich śmierć. Z wiedzą dowódcy obrony zbiegła do Tatarów i udając chęć zemsty przyobiecała oblegającym, że ich wprowadzi do miasta przez chodniki podziemne. Tatarzy zawierzili Halinie. Gdy nocą dostali się do lochu, sandomierzanie, którzy na to czekali, wybiegli z ukrycia i kamieniami zasypali wejście do podziemi. Halina zginęła wraz z Tatarami, lecz miasto ocalało...

Od tego zdarzenia może sto, a może i więcej lat upłynęło, gdy po ulewnych deszczach obsunęła się część góry przy kościele św. Pawła, a obsunąwszy się odkryła loch, a w nim wielką ilość kości ludzkich. Dla onych kości miejsce to, gdzie nastąpiło obsuwisko, przezwa- no Piszczelami.

Lud okoliczny, a nawet i dalszy, żywił wielką cześć dla sandomierskich męczenników, toteż na dzień ich święta olbrzymie tłumy pątników spływały do Sandomierza. Z czasem jednak i i zawiść sąsiadów, która o to sandomierskie święto ze skargami aż do Rzymu chodziła, i późniejsze zubożenie



Widok na wzgórze Salve Regina od Łokuszy

dachem, gdyż będzie to zapowiedzią, że królestwo Boże już przyszło na ziemię...

Gdy drugi kur przepieje, wracają umarli na miejsca, na których kiedyś żyli, obchodzą znane sobie kąty, zaś o trzecim kurze wracają do siebie, do mogił...

Roman Kosela.

Węgierska Pusta — Hortobágy



Podziwiałem w Szwajcarii turystów, przyjeżdżających z Anglii, Francji, Niemiec i innych dalekich krajów, w przepisowych strojach turystycznych, w ciężkich butach, z pełnymi plecakami, linami i t. p., udających się na Rigi, Jungfrau, Monte Rosa lub na Mont Blanc i nie mogłem zrozumieć, co tych ludzi ciągnie na te wysokie, śniegiem pokryte szczyty alpejskie. Dopiero, kiedy sam zdobyłem Rigi-Kulm — zrozumiałem, że „majestat natury”, ten czar swobody zachęca tysiące, tysiące turystów do trudnej wyprawy.

Podziwiałem również marynarza na Atlantyku, stojącego godzinami na pokładzie okrętu, patrzącego w dal na zmieniające się na horyzoncie chmury albo na lazurowe fale oceanu.

Czym turystom Alpy i Karpaty, czym marynarzom morze, tym dla każdego Węgry Pusta Hortobágy.

Ciągnąca się przed nami równina, ta prastara

Pusta, niedotknięta cywilizacją, dzisiaj jeszcze w tym samym stanie jak przed laty tysiącem, kiedy wojownicze szeregi groźnego Atylli na dzikich rumakach pędziły przez tę pustą przestrzeń nieskończoności, w tym samym stanie, jak ją Jókai opisuje w swoim „Nabobie węgierskim”. To samo słońce, ten sam wiatr, to samo pole, ptaki, chwasty stepowe, jak podczas wę-

drówki ludów. Pozostał ten sam melancholijny czar, który Petöfi (poeta węgierski, † w boju o wolność 1849, jako adiutant generała Bema) tak pięknie opiewa. Ta Pusta Hortobágy i dolina węgierska przyciągnęła poetów węgierskich i pod wpływem ich czaru dusze poetów snuły przepiękne sny.

Pusta Hortobágy tak samo snuje swój tysiącletni sen. Gdy promień słońca w południe płonie, zjawiają się na stepie góry i ruiny średniowiecznych zamków, kościoły, całe miasta, pojedynczo stojące drzewa i lasy.

Niedawno temu grupa turystów holenderskich pojechała na Hortobágy. Naraz spostrzegli falujące morze i całą eskadrę okrętów wojennych. Czyżby ich wzrok mylił? Oczom nie chcieli wierzyć — jechali dalej, aby dotrzeć bliżej wybrzeża morza. Po półgodzinnej jeździe przekonali się, że jest to ta

tysiącletnia czarodziejka, piękna „fata morgana” (złuda pustynna). Ona jest muzą (muzy, boginie natchnień artystycznych u Greków) Pusty, która zapełnia wyobraźnię pastuchów, skupiających się wieczorami przy ognisku; przepełniła też dusze Petöfiego, Jókai'a (powieściopisarz węgierski † 1904) i innych.

Niesamowite wrażenie odnosi człowiek, gdy stada koni — 200 do 300 półdzikich rumaków — pędzą jak wichry, a za nimi jak cowboy (czytaj: kauboj — pastuch amerykański) „csikós” (czyt.: czikosz) goni. Za chwilę prowadzi już przy pomocy „pánywa” (sznur, rodzaj lassa) jednego z najdzikszych, wspaniałego rumaka, który jako model dla rzeźbiarza służyć może.

Z oddali słyszymy monotony dźwięk, który w tym melancholijnym otoczeniu przechodzi do nas jakby dźwięk dzwo-

nów z dalekich kościołów. Kierujemy nasz wzrok w stronę tej niezwyklej melodii i widzimy stada bydła dążącego do samotnie stojącej studni z wysokim żurawiem, aby tu zaspokoić pragnienie. Co za okazy wołów, nigdzie nie spotykane okazy byków. Wspaniałe zwierzęta! A pastuch ich „gulyás” (czyt.: guljasz) to typ Węgry, który po tyluzaburzeniach politycznych i społecznych, po tylu rewolucjach technicznych po-



Dożynki węgierskie.

został taki sam, jak byli jego przodkowie z przed setek lat, spokojnym, zrównoważonym panem Pusty.

Przyjrzyjmy się teraz juhasowi, temu prawdziwemu synowi Pusty, jak on pochylony na długiej lasce, jak król majestatycznie spogląda na swoich podwładnych — 600—700 owiec. A pomocnik jego „bojtár“, to słowik Pusty, którego Petöfi tak pięknie opiewa, kiedy ten wieczorami przy ognisku zagra na „tilinko“ (furulya — fujarce) starodawne pieśni ludowe. Dźwięków tych melancholijnych chętnie słuchają dziewczyny pracujące na polu.

Podczas tego niesamowitego koncertu spokojny owczarek czuwa nad snem stada owiec, a czarny bystrooki pudel czuwa nad porządkiem, trzyma stado

w korbach i dyscyplinie. Na spojrzenie swego pana zgania zbłąkanych podwładnych z powrotem do obozu, utwierdza energicznie powagę swego pana, tak że nawet poważny osioł respektuje jego rozkazy. A gdy juhas wstąpi do pobliskiego „czárdy“ (gospody), aby tam muzyką cygańską rozweselić się, zostawia spokojnie stado, gdyż owczarek i pudel spełniają nadal swoje obowiązki.

Takie jest życie na Puście Hortobágy, należącej do miasta Debreczyna, a obejmującej 50 000 hektarów. Przed inwazją turecką było rozsypanych tam aż 7 wiosek, których mieszkańcy przed obawą natarcia tureckiego puciekali. Z tych wiosek nie ma dzisiaj żadnego śladu.

Osobliwość i charakter Pusty przyciąga coraz więcej turystów i zwiedzających Hortobágy. To przyczyniło się do tego, że Rada Miejska Debreczyna urządziła obok tradycyjnej „czárdy“ muzeum, zawierające dokumenty, zabytki historyczne, jak ceśmy, narzędzia i sprzęty domowe, wykopane na miejscu w wsiach i osadach pierwotnych Węgrów, zburzonych przez Tatarów i Turków, roślinność Pusty, najróżniejsze gatunki ptaków, pierwotne narzędzia mleczarskie, artystyczne rzeźby drewniane wykonane przez pastuchów, obrazy malowane i darowane przez miłośników Pusty.

Na murach „czárdy“ obok muzeum, umieszczona tablica świadczy o tym, że w roku 1844 mieszkał tu sławny poeta Aleksander Petöfi.

RÓŻNE WIADOMOŚCI

Cała wieś wróciła do wiary ojców... Przywódca hodowców w Hucisku pod Skarżyskiem, Alfons Piór, powrócił wraz ze swymi zwolennikami na łono Kościoła katolickiego. Stał on pod krzyżem na środku wsi przed ks. Dziekanem i odczytał uroczyste oświadczenie, że wyrzeka się błędów sekciarskich i wyraża żal, iż innych w błędach tych utwierdzał. Nawrócenie to wywarło na miejscowych katolików i błądzących wielkie wrażenie. Rychło uformowała się procesja, którą poprowadził do kościoła parafialnego w Odrowążu ks. prał. Sykulisz. Wierni, zgromadzeni w kościele na sumie, wyszli na spotkanie procesji, ciesząc się, iż mieszkańcy Huciska wracają do wiary swych ojców. Przy wspólnym, głośnym odmawianiu „Wierzę“, przy słowach: „wierzę w Kościół powszechny“ powstał głośny płacz.

Sekciarze chcą koniecznie spocząć na katolickim cmentarzu. W Smolewie, w pow. bielsko-podlaskim, zmarła 20-letnia wyznawczyni kościoła narodowego, Kozłowska. Ponieważ zwolennicy tego kościoła nie posiadają oddzielnego cmentarza, starostwo w Bielsku-Podl. wyznaczyło na pochowanie Kozłowskiej miejsce na nieczynnym od szeregu lat prawosławnym cmentarzu w pobliskiej wsi Gąsiorów. Zwolennicy kościoła narodowego ze swoim duchownym Czerwińskim nie zgodzili się na pochowanie ś.p. Kozłowskiej w tym miejscu i oświadczyli, że pochowają zwłoki na cmentarzu rzymskokatolickim. Ostatecznie zwłoki zostały pochowane w miejscu, wyznaczonym przez władze na nieczynnym, niekatolickim cmentarzu. Ciekawo, że sekciarze, za życia, Kościoła znać nie chcą. Miotają nań obelgi. A po śmierci szukają na katolickim cmentarzu miejsc wiecznego spoczynku. Dziwna niekonsekwencja czy pretensja; przecież cmentarz katolicki jest własnością katolickiej parafii.

Jedyna w Polsce trędowata, Fajga Cwibusowa którą wywieziono z Warszawy do specjalnego zakładu dla trędowatych w Estonii, była diegdy handlarką żywym towarem i osobą bardzo zamożną. Nabawiła się ona tej strasznej choroby w jednym z domów zamorskich, dokąd wywoziła uwiedzione dziewczęta. Teraz wskutek choroby i gry giełdowej potraciła wszystko.

Osiem milionów ludzi podejrzanych o opozycję w Sowietach „zrobiono“ wariatami. Przed kilkunastu dniami „IKK“ podał wraz z całą prasą zagraniczną sensacyjnie brzmiącą wiadomość, że ostatnie obliczenie statystyczne na terenie Bolszewii wykazały nieprawdopodobnie wysoką cyfrę umysłowo chorych, sięgającą 8 milionów osób.

Cyfra powyższa w kołach naukowych wzbudziła podejrzenia. Jest to tak wysoki odsetek, iż zdaniem znawców należy przyjąć, iż kryje się za tym jakiś manewr rządu sowieckiego.

W związku z tym jedno z pism zagranicznych zazwyczaj doskonale poinformowane o stosunkach panujących w Moskwie — podaje wiadomość, z której wynika, że władze sowieckie zaliczyły do umysłowo chorych tych wszystkich, składają normalnych obywateli,

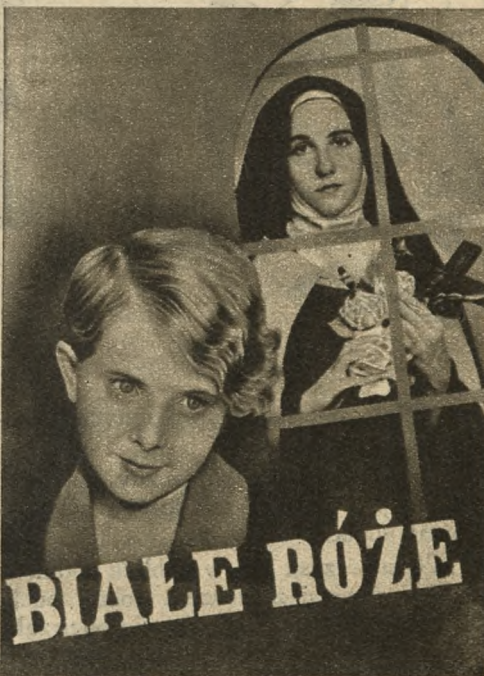
co do których obawiano się, że przy wyborach mieliby odwagę należeć do „opozycji“. Ponieważ chory umysłowo nie ma praw wyborczych ani biernych ani czynnych, kombinacja ta jest zupełnie przejrzysta.

Gdyby przypuszczenia cytowanego dziennika były słuszne, należałoby stwierdzić, że w Rosji dzisiejszej technikę „chwytów“ wyborczych doprowadzono do nienotowanej nigdzie doskonałości. Czytaliśmy o rozmaitych „chwytach“ wyborczych lecz hurtowne zaliczenie całej przypuszczalnej opozycji do umysłowo chorych jest czymś zupełnie nowym!

Maluczko zatem, a ludność Rosji dzielić się będzie na tylko na dwie grupy, a mianowicie: na lojalnych i politycznie umysłowo chorych...

mogła przytułek. Okazało się też, że mała Majewska przybrała raz inne nazwisko i podała inny adres.

O napotkaniu dziewczynki, której podobiznę podajemy, należy zawiadomić policję, względnie też jej ojca p. Bogusława Majewskiego. Zaginiona jest wzrostu wysokiego, szczupłą blondynką o pociągłej twarzy i niebieskich oczach. Na prawej ręce powyżej piąstki ma małą bliznę podobną do pieprzyka.



Nowy film francuski stawiający św. Teresę z Lisieux, pokazuje, że Święta dotrzymała obietnicy: Będę zsyłać deszcz róż.

Film ten wyświetlać będzie w Poznaniu kino „Świt“ w czasie od 6 — 12 grudnia br.

W dniu 25 maja oddaliła się z domu rodzicielskiego w Poznaniu na Górnej Wildzie 30, m. 11 jedenastoletnia uczennica szkolna Maria Majewska i od tej pory wszelki ślad za nią zaginął. Mimo młodego wieku dziewczynka ta jest bardzo sprytna, ma skłonność do zmyślenia i opowiadania różnych fantastycznych przygód, wzbudzających litość u osób, które ją prawdopodobnie przygarnęły. Opowiada, że jest sierotą, gdyż rodzice dawno już pomarli i że nie ma żadnych krewnych, u których znaleźć by

Tak niewiele potrzeba. Gospodarz A. B., już nieżyjący, 18 lat był nieochrzczony. Żaden z księży nie miał prawa go ochrzcić, ponieważ był zapisany na prawosławie. Rodzice więc woleli go wcale nie chrzcić, niż oddać go prawosławiu. Takich wypadków było dużo. Dziś mało już ludzi, którzy pamiętają te czasy. Trzy czwarte wsi się zruszykowały, a jedna czwarta, ponieważ ma daleko do kościoła, w ciągu ostatnich dziesiątek lat zdziczała, radykalizowała się, a starzy, pamiętający niejako, wymarli. Bliskość granicy bolszewickiej sprawia, że mimo kordonu straży granicznej propaganda wywrotowa ciśnie się w sposób zastraszający. Pod względem wyznań ludność jest mieszana. Wielu jest prawosławnych, którzy podatni są na hasła wywrotowe. W tych warunkach na naszych kresach jedynie Kościół katolicki był, jest i będzie ostoją polskości. Wszelka pomoc dla Kościoła nabiera szczególnego znaczenia. — Oto wyjątek z listu, jakich bardzo wiele wpływa do „Związku Polek dla wspierania ubogich kościołów na kresach wschodnich“, Poznań, Ogrodowa 10 (przew. p. M. Swinarska). Związek ten szyć bieliznę kościelną, ornaty itp., które potem posyła jako dar Związku najbardziej potrzebującym kościołom kresowym. Związek serdecznie prosi składać na ten cel: resztki jedwabiu, płótna, koronki, plusze etc., ufamki biżuterii (bardzo cenne), przedwojenne pieniądze srebrne, niklowe i miedziane (bardzo cenne), znaczki pocztowe. Wszystko, co w domu po szufladach czy szafach zawadza, złożone do Związku, oddać może wiele usług kościołom kresowym. Każdy taki dar podnosi też ducha tych kresowych bojowników o wiarę i polskość. Wszelkie dary można przesyłać na adres przewodniczącej, dary pieniężne zaś na konto Związku, PKO nr. 209.592. Na to konto można też przysyłać ofiary na budowę kościoła w Perespie na Wołyniu, który będzie upamiętnieniem jubileuszu ks. Piotra Skargi. Na tenże cel można również przysyłać ofiary pod adresem Komitetu Budowy Kościoła: ks. Roman Mielniński, Poznań 3, Grottera 2, m. 1.

PRZYGODA NA RYNKU

Pani Agata Pawłowska, wdowa, matka ośmioletniego już Gusia, życie miała niełatwe. Dawniej to jeszcze szło jako tako, prała bowiem po domach, starając się trafić do co lepszych państwa, gdzie to obok paru złotych dziennie nie skąpiono uczciwej jedzy. Ale odkąd się kryzys zaczął, z dnia na dzień działo się gorzej i gorzej. Państwo samo nie miało na zbytki, więc i pracząc ujmowano z zapłaty, to pięćdziesiąt groszy, to złotówkę, a i wzywano rzadziej, bo i o mydło tu przecież szło, i o węgiel. Słowem jeśli zarobiła na tydzień z dziesięć, piętnaście złotych, to już była rada.

Jak się rzekło, Guś miał osiem lat, ale wyglądał na mniej, blady, chudy, niedożywiony należycie. Przyjechał raz krewniak ze wsi, sprzedawał nabiał na rynku Łazarskim, a że mieszkała blisko, bo przy Kanałowej, wstąpił do Pawłowiczki pogwarzyć i zaraz od progu rzekł:

— Pochwalony! Ale ten wasz chłopak to jakoś nie bardzo...

— A nie bardzo — z frasunkiem pokiwała głową. — Cóż poradzę? Bieda! Skądże mu wszystkiego wezmę. Póki nieboszyk żył, tośmy mieli wygodę, taki był delikatny, uważny — nawet wiatrowi nie dał na nas przyjść. A teraz to i szkoda mówić...

— Zarobek mały?

— Mały. W zeszłym tygodniu prałam dwa dni, dostałam sześć złotych, jakże tu obstać?

— Żeby to tak dawniej, to bym wam pomógł, ale teraz sami wiecie, że i my na wsi rozkoszy nie mamy. Susza była taka latoś, że ziemniaków mniej zebralim, jak to, com z wiosny nasadził. Wierzcie, albo nie, parę centnarów ino z morga. Tyle, co mleko jest i masło, bo nam się dwie krowy właśnie ocieliły, ale masło znów muszę sprzedać, bo mi inaczej na podatki nie starczy.

Zafrasowany pocierał siwą głowę, gdyż dobry był z niego człowiek i szczerze chciał pomóc, tylko nie wiedział jak. Wtem piasnął się dłonią w kolano.

— Ale, żem też wcześniej nie wymyślił! Słuchajcie tylko, Pawłowiczka. Nie sprzedam dziś wszystkiego masła, bo targ był lichy, a nie chce mi się dla tego dziebka gnać znów konia taki kawał w sobotę. Możebyście wy poszli z tym masłem na rynek, a z pięciu sprzedanych funtów jeden funt będzie zawsze dla was?

Pawłowiczce aż się zaświeciły oczy.

— Ależ, kumie, z radością, z radością! Tak już się będę targowała, byle sprzedać jak najdrożej!...

— No to ostanicie z Bogiem. We środę przyjadę, to się obrachujemy.

W sobotę rano pani Agata poszła do śpiżarki, gdzie wysoko na półce, żeby

się czasem myszy do nich nie zakradły, leżały oselki masła. Włożyła je do koszyka, przykryła czystym płótnem i przykazała Gusiowi:

— A bądź tam dzisiaj w szkole grzeczny, nie zbytkuj, to jak wrócę dostaniesz chleba z masłem.

— A grubo mama nasmaruje?

— Grubo, grubo, na palec. Wcale chleba nie dojrzysz przez to masło.

Guś aż się obliźnął, a pani Pawłowskaniosła swój kosz po ulicy z takim zadowoleniem, że aż się uśmiechała do wszystkich, kto się tylko po drodze trafił.

Na rynku wykupiła świadectwo i za-



— O jejku, jeź!...

raz zajęła miejsce pośród innych przekupek i gospodyń.

Dzień był ciepły słoneczny, a także krótko po pierwszym, toteż ruch pannaował wielki.

Wtem wrzask się w pobliżu podniósł. Jakiejś paniusi z kieszeni łobuz buchnął portmonetkę, a zanim się obejrzała, kto i co, przepchał się przez tłum i tyle go widzieli. Lamentowała bardzo, skarżyła się policjantowi, a ten tylko ramionami wzruszał:

— Gdzież ja go teraz znajdę, moja pani? Trzeba było lepiej pilnować.

Pawłowska przygarnęła swój kosz jak kokoszka kurczęta. — Niechby tak mnie buchnęli masło — myślała. — Jezus, Maryja, wstydziłabym się krewniakowi na oczy pokazać. Spozierała też na ludzi uważnie, a podejrzliwie, i co się kto przybliżył, pytała zaraz:

— Co pan uważa? Co paniusia uważa?

Choć i nie bardzo umiała towar swój zachwalać, sprzedała masło w mig, bo

to dobre było i niedrogie. Z pięciu funtów funt zatrzymała dla siebie i syna.

W środę przyjechał krewniak ze wsi, odebrał pieniądze, pochwalił panią Agatę, że się tak gracko spisała, a na zakończenie powiedział:

— Wiecie co, róbmy tak zawsze. Wam wygoda i mnie wygoda.

Więc tak już weszło w zwyczaj, że co sobota pani Agata spieszyła na rynek z koszem, a czasami i z dwoma. Co tam od środy krewniakowi zostało: masło, jaja, brała ze sobą na targ. Lepiej się im teraz działo, toteż Guś niebawem wydobrzył, zarumienił się, przytył. Wielkie dziwo! Toć dawniej nieraz dzień cały wytrzymał o ślepej rybce albo kartoflanych placzkach, co to tylko waga w brzuchu, a korzyści żadnej, teraz zaś jadał sytniej i tłustiej. Nawet krewniak go pochwalił, poklepał po rumianej buzi, mówiąc:

— Kiedyś taki chwacki, to ci muszę prezent jaki ze wsi przywieźć, albo co?! A cobyś chłopcze chciał? Powiedz?

— C... coś żywego.

— Coś żywego? — zdziwił się gospodarz. — Czekaj, to sobie muszę przemyśleć. Coś żywego?...

Ale w następną środę, gdy wszedł przez próg do izby, miał kosz na prawym ramieniu, kosz na lewym, a w rękach na brzuchu trzymał coś jeszcze, zawinięte w szmaty i jak gdyby żywe.

— Chodź tu, smyku, masz coś żywego. Tylko ostrożnie, uważaj!...

Odstawił kosze i ze szmaty wysypał coś na ziemię. Guś patrzył na szarą kulkę wielkości pięści, całą w zjeżonych, twardych igielkach. Wtem jak nie piśnie, jak nie wybuchnie

śmiechem pełnym szczęścia:

— Ojejku, jeź!...

Na chwilę weszła pani Agata i załamała ręce.

— No i po cóż to? No i co to z tym począć? Zabierajcie, kumie, z powrotem, wypicie gdzie w polu.

Lecz Guś nie dał sobie jeża odebrać, osłaniał go, prosząc:

— Ady niech już zostanie, ady, mamol!...

Krewniak też się za jeżem wstawił:

— I o cóż wam się rozchodzi, Pawłowska? Zje to mniej niż kot, kapka mleka starczy, a myszy chwytą jak najłowniejczy kur. Dajcie pokój, niech się chłopak pobawi, niech ma tę uciechę!...

No i jeź został. Guś przyniósł mu zaraz drobinę mleka na spodku, a potem cupnął obok i czekał, aż zacznie jeść. Ale nie tak to prędko poszło. Jeź leżał ciasno zwinięty, jak kłębek siwej włóczki, w którą by kto gęsto nawtykał czarnych igiel. Jednakże mleko musiało mu słodko pachnieć, bo się czasem wzdrygał i przeciągał. Potem powoli, powoli rozsunał się, wydłużył, wy-

ciągnął malutką śpiczastą mordkę i zerknął na Gusia czarnymi oczkami. Chłopak ani drgnął, jakby go przykleili do podłogi, a jeż sapnął i zaczął pić mleko.

W dzień z jeżem nie było doprawdy żadnego kłopotu: troszkę jadł i bardzo dużo spał. Za to od razu nazajutrz rano pani Agata powiedziała z oburzeniem:

— Skaranie Boskie z tym stworzeniem. Całą noc łązi i łązi, spać nie daje. A ciężkie to jak jaki chłop. Tupie, jakby nosił buty.

Bo rzeczywiście, ledwo z wieczora zgasił lampę, jeż zaczynał spacer po izbie, to w kółko pod ścianami, to pod szafą, to znów pod stół zajrzał, przy czym na drewnianej podłodze twarde jego łapki czyniły istotnie dużo hałasu. Wytrzymała tak pani Agata jedną noc, drugą, ale z czwartku na piątek zdjęła ją wreszcie złość.

— Guś, albo mi tego jeża gdzie zamkniesz, albo go przez okno wyrzucę.

Guś wylazł z łóżka, bosy, w koszuli tylko, zagarnął kołacego jeża w podolek, i kręcił się z nim po ciemku, zmarznięty, senny, nie wiedzący, co począć. Przypomniało mu się w porę, że matka ma w spiżarce dwa wielkie kosze, w których nosi towar na rynek. Uchyliwszy drzwi namacał plecioną wiklinę, uniósł szczelnego wieka, i wsunął jeża do środka. Pod palcami uczył lnianą szmatę służącą do przykrywania towaru, więc otulił nią stworzonko, żeby czasami nie zmarzło, i zadowolony co prędzej wrócił do ciepłego łóżka. Postanowił, że nazajutrz rano wstanie wcześniej niż matka, i zanim ta się spostrzeże, usunie jeża z koszyka.

Matka zbudziła się pierwsza i spojrzawszy na zegar zerwała się z pościeli.

Galopem narzuciła na siebie odzież, rozpałała ogień pod blachą, ułożyła w spiżarce jaja do jednego koszyka, do drugiego byle jak wrzuciła masło, i stojąc w progu spojrzała na syna.

— E, niech sobie jeszcze pośpi, biedota! — machnęła ręką wychodząc.

Na rynku znalazła sobie miejsce obok grubej Mazgajskiej, i tak się zaraz zagadały, aż pani Agata przestała na kosze swoje uważać. Nie spostrzegła też wcale, że jakiś mężczyzna, w kaszkiecie nasuniętym na oczy, w marynarce z podniesionym kołnierzem, jakby chciał ukryć twarz, pilnie się w pobliżu kręcił. Raz spoglądał na niebo, niby czy to się pogoda utrzyma, to znów patrzył na pozor obojętnie, jak się targują inni, a wciąż ukradkiem zerkał ku pani Agacie i jej wyładowanemu koszykom. Aż przewinał się zreźnie między jedną jakąś paniusią a drugą, nachylił szybko i odrzucając zręcznym ruchem wieko koszyka, sięgnął chciwą ręką.

Sięgnął głęboko, rozstawionymi palcami, żeby tych oselek masła zagarnąć ile się tylko da, jak najwięcej. Prędko zacisnął garść na czymś twardym, i raptem jak nie krzyknie, jak nie zawrzaśnie na cały rynek!

Obróciła się z miejsca pani Agata, rozdziawiły usta inne przekupki; tłum się zaraz zebrał, przez który z trudem przeciskał się zwabiony wrzawą policjant. Mężczyzna w kaszkiecie darł się, skakał, kręcił, potrząsając ręką, na której gęsto wystąpiły krople krwi.

— Co to jest? Co się stało? — pytał posterunkowy.

— A to złodziej, panie władza! — tłumaczyli przygodni widze. — Chciał

jej z koszyka masło ukradnąć i coś go ugryzło! O, jak krwawi!

— Co takiego, co pani tam ma? — badał policjant, trzymając już złodzieja za kark.

Spojrzała pani Agata do koszyka, spojrzal i policjant i jak nie wybuchnie śmiechem:

— Jeż! A to się pani sprytnie zabezpieczyła przed kradzieżą! Tylko czy to tak można razem: jeż i masło? Na ten raz daruję, bo dzięki pani schwytałem tego ptaszka, ale na drugi raz zapłaci pani karę za nieporządki sanitarne.

Odszedł śmiejąc się, prowadząc przed sobą złodzieja, a wokół pani Agaty zebrali się ludzie i nuż dogadywać:

— Ale też z pani mądra kobieta! Trzebaż było tak chytrze wymyślić! Moja pani, moja pani, dawno się tym złodziejazkom należała nauka! Mało to ostatnimi czasy nakradli? Byle człowiek porozmawiał chwilkę, na to jedno mgnienie oczy odwrócił, już tkali rękę jak do swego! Jedna się sprytna trafiła!...

Pani Agata rozumiała już wszystko, że to Guś nocą schował jeża do koszyka i że rano, w pospiechu, ona sama przywaliła go masłem. Właśnie też dostrzegła syna, jak blady ze strachu przesłizgiwał się do niej przez tłum. Musiał po przebudzeniu zauważyć brak kosza i jeża, i teraz czekał kary za swe głupie zbytki. Ale Pawłowska była usposobiona zbyt radośnie, żeby się gniewać. Masło ocalało, a ludzie nadziwić się nie mogą jej chytrłości. Łaskawie skinęła na wystraszonego chłopca.

— Guś, masz swego jeża, a daj mu tam ciepłego mleka w domu...

PONIEWIERKA

Idą święta, a przed nimi tak popularny i ulubiony dzień św. Mikołaja. Był to Święty „opętany” miłością Boga i bliźnich, gotów do największych ofiar materialnych i moralnych, dochodzących do tego, że przez jakiś czas stał pod pręgierzem hańby i lekkomyślności. Świętość jego zwyciężyła wszystko i zaprowadziła go na wyżyny ołtarzy.

Zdawałoby się, że jest to dla katolików wystarczający powód do oddawania Mu najgłębszej czci. A tymczasem...

Przejdźmy wystawy sklepowe przed dniem 6 grudnia. Zza każdej szyby szczerzy zęby i widły diabeł, jakby miał być nieodstępnym towarzyszem dobroci i miłosierdzia Świętego. Jakże go nie kupić i nie obdarzyć nim dziecka, jak to się mówi „na Mikołaja”? „Mikołaj” piernikowy zostanie zjedzony, a diablik, miła zabaweczka, pójdzie z dzieckiem do łóżeczka, do zabawek na codzień. A czy diablik powinien należeć do zabawek?

A teraz o niektórych „Mikołajach” szkolnych. Dzieci wszystkich wyznań razem. „Będzie heca” — informuje dziecko żydowskie. „Dostanę tyżwy i diabła — już mi mama mówi”.

Uproszony „Mikołaj”, ubrany przecież jak biskup, sypie dowcipami do starszych i młodszych, by skutecznie rywalizować z nieodstępnym diabłem. Był wypadek że „Mikołaj” upił się i rozpoczął brewerie ku uciesze dziatwy.

Ten sposób czczenia św. Mikołaja trzeba koniecznie zmienić! Niechaj św. Mikołaj będzie dla dziatwy nadal oczekiwany, miłym Świętym i niech ją nadal obdarza słodkimi i pożądanymi podarkami. Ale te podarki i ta uroczystość muszą inaczej wyglądać. Niechaj wszędzie, czy przy rodzinnym, czy przy zbiorowym obdarzaniu nie zapomina się o dzieciach biednych. Niech zamożniejsze dzieci uczą się od św. Mikołaja obdarzać. Obdarzając dziatwę katolicką pięknymi czy słodkimi podarkami, tłumaczmy jej, że

czynimy to dla uczczenia idei miłości bratniej wśród chrześcijan. Nie kupujemy też diabłów. Niech sobie diabelskie figurki kupują ci, co w nich znajdują upodobanie. Katolicy niech nie czynią z diabełką podarku. Niech go nie kupują dla nikogo. Żądajmy od kupców katolickich, by diabełka nie sprzedawali.

I uroczystość św. Mikołaja niechaj inaczej wygląda. Niech „św. Mikołaj” występuje z dobrocią, serdecznością, miłością i miłosierdziem, i z godnością wielkiego świętego. Usunmy z jego towarzystwa diabła. Nie jest on zupełnie potrzebny. Wprowadźmy raczej postać anioła. Lepszym on stróżem dusz dziecięcych niż diabeł. Nie urządzajmy też tej uroczystości wspólnie dla dziatwy katolickiej i niekatolickiej, nie mającej nic wspólnego z kultem chrześcijańskim.

A więc, rodzice katolicy, — „św. Mikołaj” bez diabłów i diabełków! Uroczystość dziecięca w dzień św. Mikołaja niech będzie godna czci tego patrona dzieci i ubogich.

Kalendarz liturgiczny

5. XII. niedz. *fiol.*, II niedz. Adwentu, 2 modl. do św. Sabby, *opata i pustelnika w Palestynie* † 532 r., 3. modl. do Matki Boskiej, nie ma Gl., Cr., Pref. o Trójcy św., Bened. Domino.

6. XII. poniedz. *biały*, św. Mikołaj, *bp z Miry, wzn.*, *patron marynarzy i dzieci*, † 327 r., 2. modl. z dnia (z II niedz. Adw.), Gł.

7. XII. wtorek, *biały*, św. Ambroży, *bp. Mediolanu, doktor Kościoła, wzn.*, † 397 r., 2. modl. z dnia, 3. modl. z wigilii Niepok. Początku NMP., Gl., Cr., ostatnia ewang. z wigilii — albo msza z wigilii Niepok. Początku NMP., 2. modl. do św. Ambroży, 3. modl. z dnia, nie ma Gl. ani Cr., Pref. ogólna.

8. XII. środa, *biały*, Niepokalane Poczęcie Najśw. Marii Panny, 2. modl. z dnia, Gl., Cr., Pref. o Matce Boskiej.

9. XII. czwartek, *biały*, w oktawie Niepok. Początku NMP., msza św. jak w 8. XII. z 3. modl. do Ducha Św. — św. Leokadia, panna i męcz. † 304 r.

10. XII. piątek, *biały*, w oktaw. Niepok. NMP., msza jak w 8. XII., 3. modl. do św. Melehiadesa, *papieża, męcz.* † 314 r.

11. XII. sobota, *biały*, św. Damazy, *papież wzn.*, † 304 r., 2. modl. z oktawy Niepok. Początku NMP., 3. modl. z dnia, Gl., Cr., Pref. o Matce Boskiej.

Jak się robi ser ziołowy?

Sprawy kobiece

Bardzo wiele osób lubi ten serek ziołowy, zwany też często „zielonym serkiem”. Ser ten niestety jest bardzo drogi. Mały kawałek kosztuje 50—60 groszy, tak że naprawdę niejedynemu zawaha się, czy go kupić. Można jednak tanim kosztem zrobić sobie w domu prawdziwy ser ziołowy, niczym nie różniący się od tych „kupnych”. Podaję poniżej sposób:

Pierwszym warunkiem, aby nasz serek udał się, jest przygotowanie dobrego i umiejętnie wysuszonego twarogu.

Jak się robi twaróg?

Pomimo, że twaróg jest najzwyczajszym serem, nie każda gospośnia umie go dobrze zrobić. Są albo zbyt suche i kruche, albo kwaśne.

Przed wszystkim bierzemy mleko, z którego śmietana została zebrana łyżką, a nie oddzielona wirówką. Mleko odciągane na wirówce byłoby zbyt chude. Toteż, chcąc mieć dobry ser, zastawiamy pełne mleko w kamionkowych szerokich garnkach lub misach i czekamy, aż skwaśnieje. Wtedy zbieramy śmietanę płaską łyżką a mleko pozostawiamy w ciepłej izbie tak długo, aż serwatka znacznie się odłącza i na wierzchu pokazywać. Wtedy wstawiamy naczynia z tym mlekiem do bardzo umiarkowanie ciepłego pieca (np. 50°C), lub po prostu do pieca chlebowego po wyjęciu chleba. Gdyby piec był zbyt gorący, wtedy ser będzie na pewno suchy, syпки i niesmaczny.

Kiedy twaróg zwolna się odtopi, wyjmujemy go z pieca i studzimy w tych samych naczyniach nie zlewając do worków, dopóki zupełnie nie wysty-

gnie. Czyni się to dlatego, aby rozgrzane jeszcze tłuste cząstki mleka nie odplywały razem z serwatką, co po wystygnięciu jest wykluczone. Gdy ser zupełnie wystygnie, zlewamy go ze wszystkich naczyń do jednego dużego worka, najlepiej trójkątnego. Gdy serwatka z niego odciecze, kładziemy go w prasę i naciskamy najpierw lekko, a potem coraz mocniej. Po kilku godzinach, gdy serwatka całkowicie odcieknie, wyjmujemy ser z worka i lekko solimy. Przy soleniu sera należy go lekko tylko przerobić, ale nie trzeć mocno, aby nie popsuć jego zawartości.

Po osoleniu składamy ser do mniejszych worków i przyciskamy jeszcze przez kilka godzin w prasie.

Kto lubi ser łupiący się jakby w blaszki, niech nie soli sera wcale, jak wyżej podałam, tylko po wyciśnięciu owinie w płótno, umaczone w mocno osolonej wodzie i pozostawi tak przez 24 godzin.

Jak suszyć twaróg?

Twaróg należy suszyć latem w cieńniu, a zimą w ciepłej izbie daleko od pieca. Suszony bowiem na słońcu lub przy piecu pęka. Suszyć go należy na półeczkach zrobionych ze szczebelków, podestkach słomą i okrytych czystym płótnem. Z wierzchu przykrywa się go siatką, aby muchy nie miały dostępu. Susząc się sery należy przewracać często to na tę to na drugą stronę, aby równo schły. Gdyby się na wierzchu ukazała pleśń (choćby biały kożuch) to należy serki oskrobać i obmyć słoną wodą. Chcąc przechować osuszony twaróg, układamy go w wielkich garnkach kamionkowych i przechowu-

jemy w miejscu chłodnym lecz nie wilgotnym.

Z takiego twarogu robi się ser ziołowy.

Dobrego, suchego twarogu 2 kg należy utrzeć na tarce na proszek i wysypać w naczynie emaliowane lub faszeczkę drewnianą. Trzy dni przedtem przepuścić przez maszynkę od mięsa dużo liści chrzanu i wycisnąć sok przez płótno. Soku tego powinniśmy mieć około 3 l na 2 kg sera. Sok ten pozostawiamy czas jakiś, aby się ustąpił, potem zlewamy z niego wodę a sam dopiero gąszcz używamy do sera. Bierzemy 1 l gęstego soku chrzanowego i mieszamy go z 1 l gęstej kwaśnej śmietany. Wlewamy to do tartego sera i doprowadzamy masę do gęstości zwykłego twarogu. Gdy masa ta jest już dobrze wyrobiona, dodajemy do niej 50 gramów utłuczonego i przesianego przez gęste sito zioła foenum graecum. Zioło to kupuje się w aptekach w stanie suchym. Nie jest ono zbyt drogie.

Po dodaniu ziółka, wymieszać ser doskonale, przykryć płótnem i pokrywać i pozostawić na 12 godzin w temperaturze pokojowej. Nazajutrz, gdy ser napęcznieje i zgęstnieje, rozrzedzić go znowu śmietaną z sokiem chrzanowym, uważając, aby masa nigdy nie była rzadsza ani gęstsza niż zwykły twaróg. W ten sposób postępujemy przez 6 dni, trzymając masę w miejscu średnio ciepłym, mieszając ją 2 razy dziennie i dodając śmietany z sokiem chrzanowym tyle razy, ile razy ser, napęczniawszy, okaże się zbyt suchym. Po sześciu dniach składamy ser do worka i kładziemy pod lekką prasę, a potem, nie wyjmując z worka, suszymy go na twardo w cieńszym i przewiewnym miejscu.

Zamiast foenum graecum można też ser zaprawiać sproszkowanym kminem (nasienie), rutą suszoną albo mięta kędzierzawą suszoną. Najbardziej jednak znanym jest ser zaprawiany przy pomocy foenum graecum. M. Sz.

Kapturkowy reflektor do żarówek

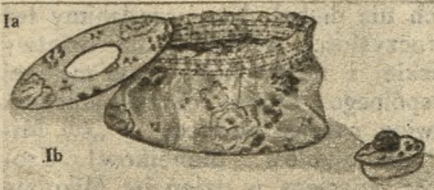
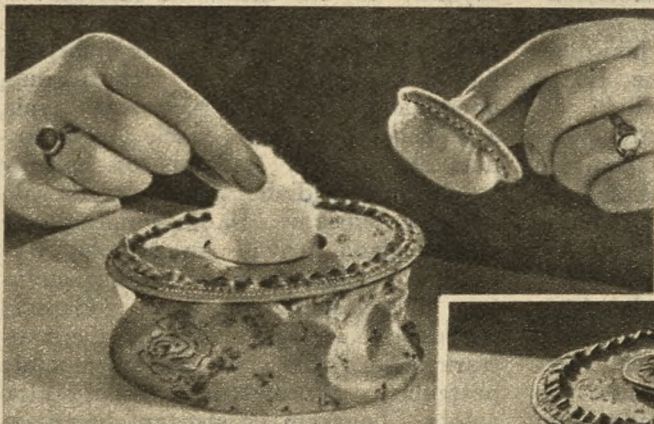
Jest to abażur czyli mała umbrelka, której wewnętrzna strona jest metalizowana. Abażur można otwierać, jak to zresztą jest widoczne na rysunku. Mały ten reflektor-abażur posiada tę nadzwyczajną właściwość, że skupia i potęguję światło. Można więc mieć w użyciu



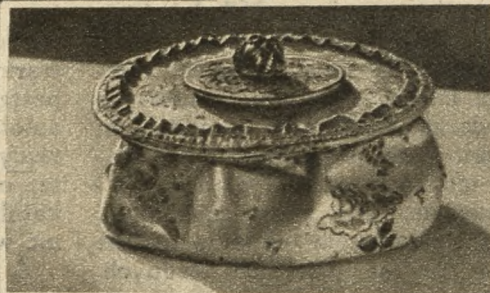
Kapturkowy reflektor: a) na lampie b) otwarty

stabilną żarówką, która zużywa mało prądu, a przez nałożenie na nią reflektorka siła światła tak się powiększa, że dorównuje w zupełności mocnej żarówce. Stanowi to oczywiście oszczędność niebywałą. Obniża zużycie prądu i obniża koszty zakupu żarówek. Reflektorek nakłada się bez wykręcenia żarówki. Jest on z materiału nietłukącego się i daje się łatwo przenieść. Wynalazek ten jest opatentowany. Kapturkowe reflektorki nabyć można za cenę 50 i 60 groszy (zależnie od gatunku) w Poznaniu, ul. Długa 10 m. 4. Freudenreich. H

Upominek gwiazdkowy własnej roboty



nic trudnego — potrzeba tylko trochę dokładności. Bierze się kawałek kartoniku i trochę resztek od jakiejś ładnej letniej sukienki. Z kartonu tego wykrawamy dwa krążki o średnicy 12 cm. Jeden z nich posłuży jako denko, w drugim zaś wycinamy niewielki otwór (średnica 4 cm) i ten krążek umieścimy u góry. Oba krążki



Woreczek do waty

Miło jest obdarować swoich najbliższych w dzień Bożego Narodzenia. Ale cóż, czasy są ciężkie i nie każdego stać na to, aby kupić kilka choćby najtańszych podarków. Jednakże „dla chcącego nic trudnego”. — Czasu mamy jeszcze trochę i przy dobrej woli zręczności możemy własnymi rękoma wykonać miłe upominki, które sprawią radość naszym bliskim, a przy tym są doprawdy wdzięczne i przydatne.

Zręczna paniątka może zrobić dla swej mamusi zgrabny woreczek do waty. Nie jest to

graficzny) i przyciskamy jakimś ciężarem, n. p. książką, aby wyschły równo. Tu musimy zwrócić uwagę, że jeśli chcemy uniknąć wygięcia się kartonu, to musimy krążki z obu stron równomiernie nasmarować klejem i z obu stron okleić materiałem. Następnie szyjemy woreczek wysokości 8 cm., wszywamy denko, robimy wieczko, jak wskazano na rycinie, i woreczek gotów. Jest to drobiazg, ale drobiazg praktyczny. Przynajmniej teraz wata nie będzie się brudzić i kurzyć.

Siedem płomieni

Powieść L. W. Platen.

(23)

— Matuchno moja biedna...

— Opowiem ci wszystko, co mówiła i jak z dnia na dzień, za radami jej idąc, zdrowszą i weselszą się czułam.

Wieczorem, w ogródku siedząc, słuchała Elza opowiadania pani matki, radując się w duchu, iż ojciec, który cierpiał bardzo, narzekania ciągłe małżonki swej słysząc, teraz raduje się pewno zmianie tej pomyślnej i niespodziewanej. Pani Urszula zasię mówiła:

— ...i tak to siostra Hildegarda nauczyła mię, iż im więcej cierpimy, tym silniejsi, odważniejsi winniśmy się okazać i Bogu cierpienia nasze ofiarować. A wtedy Bóg z pomocą nam spieszy, która sił nam dodaje, jak woda źródłana krzepi trawy i rośliny wszystkie. Ona też przetłumaczyła dla mnie i przepisała stary wiersz łaciński, który tak brzmi:

Gdzie się nasza kończy moc,
W Boże się oddajmy ręce:
On rozjaśni zwątpień noc,
I ratunek da nam w męce.
Ten, co słońca blask nam skrył,
Mur, niezłomny i złowrogi —
Boża dłoń rozkruszy w pył,
Szczęścia nam otworzy drogę.
Jeno ufność mieć potrzeba
W Bożą Moc — i w pomoc z nieba...

Elza słuchała w skupieniu głębokim. — O jakżebym chciała poznać tę siostrę Hildegardę! — szepnęła.

— Ma tu przybyć w dniach najbliższych. Odwiedza nas często. I — wiesz, córuchno — zdaje mi się czasem, że chyba niebo zesłało mi ją, bym drogę prawdziwą ku Bogu odnaleźć mogła.

— Drogę prawdziwą ku Bogu... — powtórzyła Elza w zamyśleniu, dłoń na oczy kładąc. — ...Prawdziwą drogę... O, matko, wierzę, iż Bóg przysłał nam takich, którzy czynią to i drogę nam wskazują wtedy, gdy godzina najcięższa na nas przychodzi... Słuchać ich jeno trzeba... iść za nimi, w tym rzecz!...

Pochyliła głowę i siedziała chwilę milcząca, myśląc o dziwnej swojej z pustelnikiem rozmowie, który także drogę prawdziwą jej wskazał... Potem wyprostowała się nagle.

— O, mam, o, dlaczego jednak droga ona prosta tak bardzo ciężka i bolesna bywa zazwyczaj?

— Dlatego, iż za Panem Jezu Krystem krzyż swój niosącym iść musimy, Elzo. A ciężka to przecie i krwawa droga...

— O, jak ciężka!... jak bardzo ciężka!...

Elza czoło przetrąła i zawahała się — czuła potrzebę gwałtowną, by matce zwierzyć się. w jej współczuciu ulgi szukać w życiu swoim... i nagle opamiętała się. Nie, nie wolno nic — nic — mówić macierzy...

Tam na Nollingu myślała sobie, jak to na łonie matki wyplacze ból swój i niedolę a dłonie ukochane ukoją ból jej tak, jak tylko matczyne dłonie uczy-

nić to mogą... Teraz właśnie poznała, iż grzechem byłoby niepokoić matkę i ból jej sprawiać ninie, gdy właśnie z cierpien swych długoletnich otrząsnęła się nieco, gdy ojciec o troskach swych i zmaganiach wielkich opowiadał jej, jakie ostatnimi czasy przechodzić musiał — i wstyd się jej zrobiło słabości własnej. Jakże to: nie dość zmartwień i trosk własnych mieli — jeszcze tych jasnych promieni trochę, jaka z wyzdrowieniem matki na Wolkenburgu błysła, zaciemnić im chciała swymi skargami?

Sam, własnymi siłami, musi się łamać człowiek z sercem i dolą swą twardą. Nie prawdaż jej matka, jako w dniach ciężkich najodważniejszym i silnym być trzeba?

Będzie nią — jako żywo. I ona potrafi krzyż swój nieść pogodnie i wytrwale. Niechże bytność jej tu, na Wolkenburgu, radość jeno i szczęście przyniesie ukochanym. Walczyć będzie ze sobą dzień po dniu — z godziny na godzinę.

Wspomóż mię — błagam — o dobry Boże,

Tam, kędy nikt już pomoc nie może...

Matka zasię patrzyła na nią uważnie przez czas cały.

— Tak bardzo ścichłą zdasz mi się, córuchno — zaczęła wreszcie z wahaniem. — Kędyż wesołość twoja dawna?... Przybladłaś mi też bardzo, lica ci zeszczupłały — ciężka to musiała być choroba, która tak odmieniła cię... O, muszę ja teraz odkarmić cię i odhodować na nowo, dziecko moje. Wypocząć musisz, jak należy, skrzepić się tu u nas, by Nolling dostało panią swą z powrotem zdrową i świeżą, jaką bywałaś przdy.

Elza uśmiechnęła się blade.

— I ja pragnę tego, matuchno — rzekła. — Toteż rada słuchać was będę we wszystkim... Teraz zasię pójdę Piotrusia położyć do łóżka, jako dawniej czyniałam zawsze sama — pomnicie?

...Dnia zasię następnego popołudniu Elza w ogrodzie zamkowym była i wracała stamtąd upojona wonią kwiecica, co w upale lipcowym dyszało zapachami mocnymi. Róże okryte mnogością barwnych pąków, zieleń bujna drzew i krzewów, barwne pęki kwiatów na grzędach, starannie utrzymanych, rozkoszą poły wzrok.

Na ławie pod murem ogrodowym ujrzała Elza niespodzianie obcą niewiastę w ciemnych szatach mniszek z wyspy Nonnenwerth. Niewiasta zdawała się utrudzona nieco i ocierała czoło, potem zroszone.

— O, to siostra Hildegarda, na pewno! — pomyślała radośnie Elza i podeszła żywo do przybyłej, witając ją uprzejmie.

Mniszka uśmiechnęła się również i dłoń ku niej wyciągnęła na powitanie.

— Wyście pewno Elza von Nolling — rzekła. — Macierz wasza i dzieci napowiadały mi dość o was.

Elza milczała jednak, wpatrując się w nią z osłupieniem, wielkimi pytającymi oczyma. Znała przecie dobrze te rysy... Kędyż widziała je kiedy? Te jasne, o stalowym połysku źrenice! Wysokie, szlachetne czoło i piękny orlik łuk delikatnego nosa, dumny, łagodny zarys ust...

Czuła, jak drzenie ją ogarnia. Bez tchu prawie rzuciła:

— Wyście panią na Stahleck byli — nieprawdaż?

Niewiasta uśmiechała się wciąż.

— Takci było w istocie, pani Elzo — odrzekła. — Skąd wszakże znacie mię? A może znacie kogoś z moich bliższych?

Elza głową skinęła żywo.

— Syna waszego znam, Ulfa. Ten-ci podobny jest do was, jakby z oka wam wypadł.

Lica pani Hildegardy zajaśniały, jak słońce.

— O, siednijcież sobie, pani Elzo tu, przy mnie i opowiadajcie mi o synu moim — zawołała. — Kiedyście go widzieli? Kędy? Ja zasię widziałam go po raz ostatni zimą, gdy lody puszczały na Renie a on, po przez kry skacząc, z narażeniem życia ku mnie przybył, by pożegnać się, nim do Ziemi Świętej pójdzie.

Elza głową skinęła w zamyśleniu.

— O tak, to do niego podobne — ozwała się. — Gdy cel jakiś upragniony ma przed sobą, staje się prawie dziki i nieokiełznany, za nic sobie ważący niebezpieczeństwo wszelkie.

Usiadła na ławeczce niskiej u stóp mniszki. Tak bardzo szczęśliwą czuła się mogąc z jego matką rozmawiać. Przecie znalazła kogoś, z kim mówić mogła swobodnie o nim... A tymczasem pani Hildegarda ozwała się jakby do siebie:

— I kędyż on teraz być może? Zali statki wyruszyły już z Francji do Cypru? Tymi dniami pisanie miałam od biskupa Kuniberta, jako odpływają.

— Doznał on jednak mitręgi wielkiej w podróży swojej, pani. Mieszczanie z Lorch trzymali go tygodnie długie w więzieniu i śmiercią ukarać mieli na donos fałszywy.

Pani Hildegarda ręce załamała z przerażeniem. O tym, w samotności i ciszy klasztornej żyjąc, nie słyszała była wcale. Opowiedziała jej tedy Elza o wszystkim: o kaźni Ulfa i ucieczce śmiałej, cudownej prawie — no, i o kłaczy swojej która do ucieczki tej przyczyniła się walnie. Pani stara poruszona była do żywego słuchając tej opowieści i wierzyć prawie uszom swym nie mogła.

— Tedy wy, wy, pani Elzo, aniołem jego dobrym byliście! — wybuchnęła wreszcie wzruszona. — O, niechajże

Bóg nagrodi to wam stokrotnie, niech błogosławi was we wszystkim, po wiek życia waszego!... Ale skąd że znacie syna mego? Kędy ujrzelście go po raz pierwszy?

— On przecie z Nollingerami z dawna w drużbie żył — odparła Elza. — I gdy po raz pierwszy na Nolling jechałam, jego właśnie pan Guntram naprzeciw mnie wysłał był, sam jechać wówczas niezdolny.

Pani Hildegarda milczała chwilę zamysłona głęboko.

— Jak niezwykle są drogi ludzkiego życia i jak zadzierzga się nieraz między ludźmi węzły, jakich nie przeczuwaliśmy wpiery. Tak mi dziwno, iż mogę z wami, pani, o dziecku moim mówić. Czy długo jeszcze zostaniecie na Wolkenburgu?

— Tak myślę, iż jeszcze kilka tygodni. Muszę czekać, aż statek ryce-rza von Gilchen z Lorch wróci z Holandii. Potem odjadę z nimi do Nolling.

Długo jeszcze siedziały obie kobiety pod murem, wygrzanym promieniami zachodzącego słońca, zatopione w pogawędce ufnej, serdecznej. Rozkwitłe róże pachniały upojnie, w trawie poczynały już świeższe swą zwykłą piosenkę. W gęstych zwojach bluszczu, porastających mury, wróble podnosiły hałas ogłuszający, jako zazwyczaj wieczorną porą czynić przywykły. — A na da-

lekiej, zapyłonej drodze wijącej się hen, w dole, pasterze pędzili swe trzody.

Aż wreszcie rozbrzmiał w ogrodzie hałas i wołanie dziecinne:

— Elzo,.. Elzo,.. Gdzie jesteś, Elzo?..

Jest to 15 sierpnia 1248 roku. Dzień, którego nie zapomniał nikt, kto w owym czasie zamieszkiwał Kolonię.

Szafirowy, gorejący słońcem błękit niebieski rozpostarł się nad miastem, świątecznie przystrojonym w barwne chorągwie i zielone wieńce. Tłum ludzki wyległ na ulice miasta gęsto i trwał tam nieruchomy mimo upału straszliwego.

Ozwało się powolne uroczyste bicie dzwonów. Pod baldachimem purpurowym krocząc, otoczony gronem biskupów, prałatów i mnichów, ukazał się arcybiskup Konrad von Hochstaden — a za nim tłum nieprzeliczony, rozśpiewany, podniecony. Arcybiskup od czasu do czasu dłoń podnosił w górę, błogosławiąc tłum, który padał kornie na kolana, przyłączając się potem do procesji.

Z każdą chwilą nowe gromady zwiększały liczbę uczestników uroczystości. Ciżba nieprzeliczona cisnęła się za dostojnikami Kościoła i wtoczyła wreszcie na plac, kędy dokonać miano wielkiego dzieła: oto pod przyszły tum koloński kładziono kamień węgielny. Przepiękna świątynia, w umyśle genialnym

Gerharda von Riles zrodzona, dziś początek swój wzięć miała.

Pierwszego uderzenia młotem dokonał arcybiskup, a po nim zaraz miejsce oddano twórcy natchnionemu, mistrzowi Gerhardowi. Usłyszawszy dźwięk młota o głąz uderzającego, potężny, nieustający akord dzwonów bijących, widząc ciżbę schylającą się kornie dla uczczenia chwili doniosłej, tysiące oczu gorejących zapałem świętym, mistrz wstrząsnął się i podniósł w zachwyceniu oczy, w których malował się wyraźnie potężny zarys katedry. Widział ją... Widział wyrastającą jak kwiat, smukłą, czystą w linii, strzelistą... Każdy załom jej murów wyniosłych, wdzięk kielichów kwiatowych, zdobiących krawędzi spadzistych dachów — i wieżycę coraz wyższe — wyższe... aż kędyś w niebios błękitny strzała swą godzącą... Widział wieki następne, pracowicie budowę jej prowadzące i dalsze i dalsze, gdy skończona już świątynia ta nadziemskim pięknem błysnie, jak gdyby nie przez ludzi, ale Anioły Boże zdziałaną była — prawdziwy „Dom Boży“ — ostoja pokoju i piękna nieziemskiego...

Niedaleko baldachimowi arcybiskupiego widniało grono rycerzy nadreńskich, na koniach wyniosłych siedzących. Byli to wszystko lennicy arcybiskupstwa kolońskiego. Ci z Drachenfels i z Wolkenburga byli tam również. Obok Wolkenburga widniała smukła postać Elzy

Jesiennym wieczorem

Za oknami mży. Szyby są zamglone. Na dworze kałuże. Jesień — baba zła, chora na grype, wlecze się światem. Wieczory dłużą się nieskończenie, wypełniają się smętkiem. W takie posępne, melancholią opite godziny na wsi, schodzą się sąsiedzi na fajeczkę. Obiadą stół, oświetlony wesołym blaskiem lampy, stłoczą się w ciasną gromadę i gawędzą.

— Wiesz, Michał kupił sobie nowe futro. Kolnierz lśniący, pierwsza klasa!

— Nowe futro, mówicie? Dziwne, dziwne... Musi mieć niezłe źródło dochodu. Tylko, żeby mu się czasem no-ga nie powinęła.

— Właśnie, właśnie. Znałem jednego prezesa, który pewnej zimy kupił sobie dwa futra, następnej zaś wiosny dostał dwa lata kryminału. Bilans mu się nie gadał.

Albo tak:

— Widziałem dzisiaj pannę Helcię. Dziewczyna jak róża! Policzki jak jabłuszka!

— To farba, mój drogi, wszystko farba. Jedyne naturalny tam kolor to kolor piórka na kapeluszu.

Czasami jednak daje się przecież pokój obgadywaniu bliźnich a rozmawia się o sprawach poważniejszych. Wczoraj na przykład zeszlśmy się u Adama. Gospodarz witał nas serdecznie, po naszymu. Zasiadliśmy sobie potem przy herbatce i papierosach. Potoczyła się pogawędka. Józef tylko nie brał udziału w rozmowie. Zaszył się w kąt i przeglądał pisma wieczorne.

— Czemuś taki skwaszony, jak beczka kiszonych ogórków? — zapytał gospodarz.

— To te pisma wieczorne tak mnie ponuro i kwaśno nastroiły. Gdzie tylko okiem rzucisz, tam zaraz uderza cię tytuł: Wielki podkop pod bank. — Bezczelna kradzież. — Złodzieje umknęli z bogatym łupem. — Odechciewa się czytania. Po nim bowiem wydaje się czytelnikowi, że żyje w kraju, w którym kradzieże należą do codziennego zajęcia obywateli. Dawniej złodziejzki grasowały przeważnie w wielkich miastach. Teraz coraz częściej pojawiają się już na naszej wsi, tak że przestała ona być, jak chciał poeta: wsią spokojną, wsią wesołą. Dowiedziałem się właśnie przed chwilą, (wskazał na gazetę), że w pewnej wiosce wielkopolskiej, ludnej i porządnej, zakradli się złodzieje do ogrodu. Tam porozrywali ule z pszczołami, wybierając miód. Narobili szkody, poniszczyli barbarzyńsko pocziwą pracę ludzką, zmarnowali pszczoły. Nie dosyć na tym. Później próbowali dorwać się do chlewa, aby skraść świnię i drób. Przepiłowali już zamek, lecz naraz natrafili na przeszkodę. Drzwi od środka zamknięto na hak. Włożył więc jeden ze złodziejów rękę przez otwór, chcąc hak podważyć. W tej jednak chwili znajdujący się wewnątrz stróż, który już od dłuższego czasu złodziei spostrzegł, silnym ciosem siekiery odciął włamywaczowi pół dłoni wraz z czterema palcami.

Tym razem jeden z nich poniósł do-

tkliwą karę. Ile jednak rabunków, coraz bardziej mnożących się, pozostaje bezkarnych. Żyjemy w czasach kryzysu zaufania. Są podobno kraje, gdzie nie zabezpiecza się w ogóle drzwi, pozostają zawsze otwarte. U nas zaś coraz więcej zabezpiecza się mieszkanie wymyślnymi sposobami przed rabusiami. Złe jest.

Zaczęły się więc utyskiwania, ponure jak ten wieczór jesienny.

Tylko Michał milczał i papierosiki dymił jednego po drugim. Wreszcie, gdy gębusie nam od pytlowania spu-chły, zastukał swym kościstym palcem, chrząknął poważnie i tak zaczął:

— W czasie tegorocznych wakacji wpadłem też na kilka dni do Wejherowa. Miła kaszubska mięscina, prześliczna zresztą położona. Odpocząć można aż miło, użyć lasów, przeczadzek i poznać zacnych Kaszubów.

W jakiś dzień zadeszczony wstąpiłem do miejscowej księgarni, aby wybrać jakąś książkę. Księgarnia niezłe zaopatrzona, a przy niej dobrze i bogato zaprowadzony dział dewocjonalistów: krzyże, święte obrazy i obrazki, modlitewniki, książki pobożne, żywoty świętych, kropielnice, różańce i t. d.

Wybieram sobie najspokojniej książkę, aż tu otwierają się nagle z trzaskiem drzwi i wpada gromada chłopców w wieku szkolnym. W sklepie robi się ruch. Skrzywiłem się, bo to wiecie, zawsze przeszkadza. Ale zarazem spod oka zerkam, co też za książki ci chłopcy sobie wybiorą. Widzę, że garną się do

na białej klaczy, jako we zwyczaju bywało. Zabrał ją rodzic dziś na uroczystość kładzenia kamienia węgielnego pod katedrę kolońską. Pragnął by widziała tę chwilę, która na pewno zostanie jej pamiętną przez życie całe.

Oboje z matką pragnęli, by Elza rozweseliła się wreszcie trochę i ożywiła po chorobie długiej. Tak bardzo błada i szczupła była wciąż — daremnie też czekali na wesołe, jak dawniej błyski ócz jej ciemnych. Musi tam jednak, na Nollingu czuć się niezupełnie tak, jakby ojcowie Elzy pragnęli byli. Choćby Elza i skrywać to chciała, nie oszuka oczu rodzicielskich.

Niechże jej owa przejazdka w rozkwitły, słoneczny dzień letni i uroczystość podniosła, jakiej świadkiem będzie, przydadzą sił i do zdrowia dawnego powrócą...

Tymczasem skończyły się już młotów uderzenia. Kto miał dokonać ich, speł-

nił już obowiązek swój — ciżba już z szmerem głuchym rozprasza się poczęła, gdy arcybiskup wyprostował się i dłoń podniósł znowu, milczenie nakazując. Ucichło wszystko od razu, w ciszy zabrzmiał jak dzwon głos jego spiżowy.

— W tej pięknej i wielkiej chwili — zaczął — winniśmy nietylko o tym, co tu widzimy, myśleć, ale i o tym, co teraz również tam, daleko, kędyś rozgrywa się i niemniejszą dla nas wagę mieć winno.

Tysiące ócz wpiło się w postać jego, czekając ciekawie, o czym by myślał, mówiąc to. On zaś ciągnął dalej:

— Oto właśnie przez posła z Francji wiadomość dostałem, iż tejże chwili, gdy my tutaj kamień węgielny pod Dom Boży kładziemy, król francuski Ludwik odplynął z rycerstwem swym na krucjatę. Wiemy dobrze, iż nie tylko Francuzi, ale rycerstwo wszystkich narodów

na wojnę krzyżową z nim ciągnie, więc i naszych wielmożów tam nie braknie. Pomódlmyż się tedy za nich, za ich zwycięstwo i powrót szczęśliwy.

Wszystkie głowy pochylili się kornie — i Ren szumiał cicho modlitwę swą odwieczną — i dzwony modliły się dźwiękiem potężnym swych piersi spiżowych...

X

W kościele Matki Bożej Kapitońskiej, w chłodnym cieniu prezbiterium błyskał młodo czerwony płomyk lampki wiecznej. Gęste, zielone listowie drzew, otaczających kościół, nie dopuszczało światła słonecznego do wnętrza. Złociło ono szeroki portal świątyni i dachy miasta. Mieszkańcy Kolonii rozproszyli się już po domach, by wypocząć po trudach uroczystości świeżo odbytej.

(Ciąg dalszy nastąpi)

DODATKI

PRZEWODNIK KATOLICKI przynosi stale dwa dodatki: jeden tygodniowy, drugi miesięczny. **MAŁY PRZEWODNIK**, od tylu dziesiątek lat **przyjaciół naszych małych przyjaciół**, przynosi i dla starszych rzeczy godne uwagi. Od n-ru 6. 1937 r. pojawiają się tam niezwykle pięknie opracowane **DZIEJE APOSTOLSKIE**. Czytajcie!

Przychodzą niecierpliwie zapytania, kiedy pojawi się Dodatek z dokończeniem **porywającej grozą opowieści POD VERDUN**. Pojawi się w grudniu i niewątpliwie porwie naszych Czytelników.

Abonujcie i jednajcie nowych abonentów dla Przewodnika Katolickiego!

działu religijnego! Oglądają z zaciekawieniem książeczki do nabożeństwa, książki pobożne, różańce, a przede wszystkim krzyże. Jeden z krzyżów, bardzo ładnie wykonany, wisiał dość wysoko. Czternastoletni chłopak przypatrywał mu się zachłannie przez dłuższy czas, potem przystawił krzesło do ściany, wszedł na nie, zdjął krzyż, ujął go kurczowo w ręce i z mocnym jakimś ogniem w oczach, zwróciwszy się do kolegów, zawołał:

— Ten krzyż jest mój! Nie oddam go nikomu!

Patrzałem w milczeniu. Chłopcy wybrali swoje świętości, zapłacili za nie i opuścili sklep.

— Co to za chłopcy? — pytam właścicielki.

— Przybyli tu z Niemiec na wakacje. U nich nie łatwo w dzisiejszych czasach nabyć przedmioty kultu religijnego. Więc ci skorzystali z wakacji, spędzanych w Macierzy i zakupili tu, na ziemi swych ojców, krzyże dla siebie i swych domów.

A teraz drugi wypadek. W tym samym miesiącu byłem też w Gdyni. I tam zaszedłem do księgarni. Razem ze mną wybierał książki młody robotnik.

— Co on też wybierze? — pomyślałem sobie, z góry będąc przekonany, że będzie to jakaś szmata, oczekająca krwią, naszpikowana zabójstwami, mordem, jednym słowem tak zwana sensacja. I znów omyliłem się. Ten prosty robotnik, narażony w wielkim mieście portowym na wszelakie pokusy, pracujący ciężko na kawałek chleba,

wybrał sobie dwie książki — treści religijnej.

— Wybacz pan — odezwałem się do niego — ale zdziwiony jestem szczerze a zarazem radośnie jego wyborem.

Uderzyły mnie stalowe oczy młodego człowieka.

— Dziwi to pana? Nie palę, nie piję, więc oszczędzony w ten sposób grosz mogę chyba wydać, na co mam ochotę. A książki religijne właśnie mnie interesują. Przecież muszę mieć coś i dla ducha.

— Tak powiedział! A na zakończenie dorzucę jeszcze jedno spostrzeżenie, aby Was przekonać, że nie jest tak źle z naszą młodzieżą. Przed kilku dniami Katolickie Stowarzyszenie Młodzieży Męskiej obchodziło swe święto. Szkoda, że nie interesuje Was rozwój tej organizacji, praca druhow w wszystkich dziedzinach życia. Dowiedzielibyście się może, że młodzież nasza budzi się ze snu, z martwoży religijnej. Dochodzi sama do przeświadczenia, że mija czas letnich ludzi, że dziś trzeba sobie prosto i szczerze powiedzieć: Idę na prawo, albo idę na lewo. — I cieszyć się naprawdę musimy, że tych młodych, którzy mówią: idę na prawo, idę za Chrystusem, jest znacznie więcej.

Michał zamilkł. Myśmy też się zamysłili. Dopiero po chwili Jędrzej prze-rwał:

— Słowa twoje pokrzepiły mnie na duchu. A bardzo tego potrzebowałem. Miałem dziś przykrą sprawę...

— No?

— Przyszedł do mnie ze skargą pewien robotnik. Długie lata spędził na ciężkiej pracy we Francji. Odmawiał sobie wszyst-

kiego, ciułał grosz do grosza, zebrał wreszcie swe oszczędności i wrócił do kraju. Chciał tu zabezpieczyć swój pieniądz, mieć starość spokojną. Doradzono mu, aby umieścił swoje oszczędności na hipotece. Tak też uczynił. Włożył je w 500-morgowe gospodarstwo. Właściciel przysięgał się na wszystko, że go nie skrzywdzi. A teraz nie płaci nawet procentów. Starczy mu na wszystko, na dobre życie, na kształcenie dzieci, na wyjazdy — nie ma tylko na spłacenie swych zobowiązań. Zresztą — powiada — „nie potrzebuję płacić, gdyż jest teraz ustawa oddłużeniowa“.

Prawda, jest taka ustawa, która idzie na rękę znajdującym się w trudnych warunkach rolnikom, rozkładając im zobowiązania i procenty na długoterminowe spłaty. Można nawet procentów jakiś czas nie płacić. Niewątpliwie — ustawa na to pozwala. Ale czy zawsze pozwala na to sumienie chrześcijańskie, żeby się tą ustawą zastaniać, gdy dłużnik ma na wszystko, a wierzyciel, który z tych spłat tylko żyje, nędzę cierpi? Żona mu choruje, dzieci głodne. Może tych wypadków mało, ale są. Gdy ustawa milczy lub chroni, niech sumienie woła: oddaj, coś winien! Przyszedłem tu przygnębiony, ale słowa twoje o młodzieży, pragnącej innego, Chrystusowego życia, rwącej się do lepszego jutra, dodały mi znowu ufności. Młodzież sięga po krzyż, szuka prawdy w religii. Dzisiaj tam ją tylko znajdziemy.

Na ulicy owionął nas mroźny wiatr. Ustąpiły jesienne mgły, a kałuże błota ściały zdrowy mróz.

JEMIOŁA - PASOŻYT ROLA I OGRÓD



Jemioła jest wrogiem drzew iglastych i liściastych. Gdy w zimie liście opadną i drzewa stoją gołe, zielenią się jemioły w koronach drzew jakby gniazda. W gniazdach tych a właściwie w krzakach jemioły, wysiadują ptaki, objadając jej jagody dojrzewające w jesieni. Po posiłku lecą ptaki na zdrowe gałęzie i tam, ocierając dzioby z lepkiej masy jagód jemioły, wydzielają ziarenka jagód, których strawić nie mogły. Nasionka tych

jagód, zasiane przez ptaki na zdrowych gałęziach, kielkują i wpijają się swymi ssącymi pędami w korę, wyciągając z drzewa soki pokarmowe.

Najgorszymi siewcami jemioły są dzikie gołębie i drozdy.

Walkę z tym pasożytem drzew należy przedsięwziąć w porze, gdy drzewa pozbawione są liści. Krzewy jemioły wraz z korzeniami wycina się z gałęzi a rany powstałe wskutek wycięcia korzeni, zasmarowuje się woskiem ogrodniczym. Jemiołę należy usuwać zwłaszcza z drzew znajdujących się w pobliżu drzew owocowych. W.

Wiadomości mleczarskie

Czy wiesz, rolniku, że w Berlinie odbyła się Międzynarodowa Wystawa Mleczarska połączona z Kongresem Mleczarskim, na którym masło polskie uzyskało dobrą punktację i dobrą markę. Do oceny zgłoszono 320 próbek masła w tym 16 z Polski. Najwyższy gatunek mógł uzyskać najwyżej 20 punktów. Otóż Związek Gospodarczo-Spółdzielczy w Poznaniu zdobył 164 punkty razem a 4 próbki zdobyły najwyższą ilość punktów to znaczy po 20; 2 próbki po 19 punktów a 2 próbki po 18.

Na wystawie dowiedzieliśmy się, że na całym świecie jest 120 milionów krów, dających rocznie 200 miliardów litrów mleka, z którego robi się 50 milionów kwintali (centnarów po 100 kg) masła i 40 milionów kwintali sera. Wartość mleka na całym świecie jest 3 razy wyższa niż wartość samochodów.

Najwięcej krów na świecie mają Stany Zjednoczone i Niemcy. Przy przeróbce mleka znajduje pracę około 50 milionów ludzi.

Amerykanie przysłali na wystawę naturalnej wielkości krowę ze szkła i tak urządzonej, że można było widzieć, jak pokarm w krowie zamienia się na mleko. H.

Lekarstwo na gniciu ziemniaków

Parowanie i kiszenie ziemniaków pastewnych to najpewniejszy środek przeciwko gniciu ziemniaków. Parować je może nawet ogrodnik i mały osadnik. Przez parowanie usuwa się nadmiar wody z ziemniaków a tym samym przyczynę gnicia. Parować można w kotle do prania. Kocioł należy należycie okryć workami, pokrywą i kamieniami, aby para nie uciekała. Surowe ziemniaki przed nałożeniem

ich do kotła należy dobrze wymyć. Po uparowaniu ziemniaków wysypuje się je do dołu kiszonkowego i ubija mocno tłuczkiem. Na 10 kwintali ziemniaków wystarczy 1 m³ dołu. Na końcu przysypuje się ostatnią warstwę 25 cm przykrywą - plew i 30 cm. warstwą gliny. Na budowę silosów czyli dołów kiszonkowych Niemcy przeznaczają 6 mk subwencji za 1 metr kubiczny wybudowanego silosu betonowego.

U nas w Polsce niektóre organizacje i izby rolnicze również udzielają subwencji na silosy. Dół silosowy na ziemniaki winien mieć formę podłużną, szerokość 1 1/2 metra, głębokość również 1 1/2 metra. Dobrze przyrządzona kiszonka trwać może 1 rok i dłużej. Jest to bardzo dobry sposób zapewnienia sobie taniej paszy dla zwierząt domowych. H.

Ułatwiony sposób składania słomy i zieleniny

Składanie z wozów trawy, koniczyny, słomy itp. można sobie ułatwić w następujący sposób:

Na dnie wozu kładzie się długi łańcuch wzdłuż, którego jeden koniec zwisać winien z przodu,

drugi koniec z tyłu wozu. Na łańcuch do- kłada się ła- dunek, z którym nastę- pnie podje- żdza się do miej- sca, gdzie ma

winny być umocowane dwa zwisające łańcu- chy. Do nich należy uczepić końce łańcucha zwisające pod ładunkiem na wozie. Gdy ta czynność jest dokonana, odjeżdża się z wozem, a cały jego ładunek zo- staje osunięty przez łańcuchy. Hor.



być złożony.

W murze, względnie w suficie, pod którymi zawartość wozu ma być zładowana,

Na lewo: Na dnie wozu kładzie się długi łańcuch. — Na prawo: Łańcuchy ściągają ładunek z wozu.

Z TYGODNIA: Za 6 lat Niemcy spodziewają się mieć kolonie

„Największym bogactwem

do zdobycia dla nas, wszystkich Polaków” — powiedział marsz. Śmigły (przez radio) do uczestników zjazdu w Wilnie P. O. W. — jest rządzona Polska, Polska, „narastająca w siłę”, „która może dać swym obywatelom tylko to, na co ją stać. Im więcej jej dadzą obywatele, tym więcej ona im odda”. „Miłość Ojczyzny — to dyktator Polski.”

P. O. W. uchwaliła przystąpić do Obozu Zjednoczenia Polski i oświadczyła się przeciw totalizmowi: faszystowskiemu i komunistycznemu.

Rząd angielski wszelkimi siłami

stara się zapobiec wojnie europejskiej.

Dwóch jest ministrów, którzy się zajmują polityką zagraniczną: Eden, zawodowiec dyplomata, oraz Chamberlain, skarbowiec i premier. Eden jest wrogi Włochom i Niemcom, nie wierzy w powodzenie jakichkolwiek rokowań z tymi państwami; Chamberlain nie jest takim czarnowidzem jak Eden i próbuje mimo wszystko dogadać się z Mussolinim i Hitlerem.

Premier Chamberlain uczynił trzykrotnie próbę „dogadania się” z duce i führerem. Zaprosił min. Neuratha do Londynu, ale „führer” tę podróż wstrzymał. Napisał list do Mussoliniego, wysuwając rokowania w sprawie m. Śródziemnego. Rokowania zaczęły się i utknęły, bo naprzód musi się skończyć wojna w Hiszpanii, a potem dopiero prowadzone będą „przyjazne” rozmowy i układy Włoch z Anglią — orzekł duce.

Obecnie Chamberlain wysłał „na wywiad” do Niemiec ministra bez teki Halifaxa, który jako namiętny myśliwy na lisy zna się na innych lisach — w polityce. Halifax widział się z Hitlerem, Göringiem, Göbbelsem, Neurathem. Hitler żąda zwrotu kolonii i od tego nie odstąpi. Na razie Anglia winna się zobowiązać, iż uznaje prawo Niemiec do kolonii, to jest do posiadania i zarządzania koloniami przez Niemcy.

Już po rozmowie z Halifaxem Hitler powiedział w Augsburgu: liczę, że za 6 lat sprawa kolonii będzie praktycznie rozwiązana. Pamiętajmy, że za 6 lat wygasa porozumienie pokojowe między Polską a Niemcami. I za 6 lat także armia niemiecka będzie ostatecznie uzbrojona. Hitler nie zadowala się zwrotem kolonii, lecz domaga się nowych (w stosunku do ludności w Niemczech), inaczej mówiąc, Niemcy objęłyby część kolonii z dawna angielskich.

Hitler żąda od Czechosłowacji przyznania tamtejszym Niemcom szerokiego samorządu; w zamian zawrze z nią układ nienapadania. Co do Austrii Hitler nie uderzy na Austrię, nie przyłączy gwałtem Austrii do Trzeciej Rzeszy, o ile Austria nie powoła na tron Habsburga. Anglia musi jednak go zapewnić, że nie będzie utrudniać rozwoju ruchu narodowo-socjalistycznego (czyli hitlerowskiego) w Austrii.

Cała Europa

powinna zwalczać bolszewizm — powiedział Hitler. W końcu Hitler gotów jest pośredniczyć między Chinami a Japonią.

Powiadają, że wyniki rozmów Halifaxa z Hitlerem są nikłe. Co najwyżej, po tych rozmowach mogą nastąpić nowe rozmówki. A jeżeli nie nastąpią, to znaczy, że Anglia nie ma nadziei „dogadać się” z Hitlerem.

Porozumienie się Anglii i Francji z Niemcami i Włochami dlatego jest utrudnione, że Niemcy i Włochy są państwami dynamicznymi.

Państwa dynamiczne są to takie państwa, które czują swoją żywotność i dążą do tego, żeby tę żywotność obrócić na rozrost i potęgę państwa przez nowe zaborczy, nowe kolonie, nowe wpływy nad państwami słabszymi. Nie dość na tym. Gdy państwa dynamiczne coś uzyskają, ustępstwa ze strony innych państw ośmielają je do dalszych żądań, do dalszych nacisków i przedsięwzięć, tak iż koniec końców nie wiemy, kiedy i na czym te państwa dynamiczne się zatrzymają. Mielimy przykład na Włochach: początkowo chcieli części Abisynii; gdy zażądali całą, zachciało im się władztwa na morzu Śródziemnym, obecność zaś 2 korpusów w Libii afrykańskiej zapowiada, że na zaborze Abisynii się nie skończy.

Anglia i Francja należą do państw statycznych czyli takich, które nie mają nowych pożądań i zadowolone są z tego, co posiadają. Inna rzecz, że istnienie tajnych organizacyj

wywołuje niepokój w Francji. Lewica francuska uderzyła w dzwon trwogi z powodu wykrycia tajnych zbrojowni. Znalezione w Paryżu i poza nim 14 dział przeciwzołgowych, 40 karabinów maszynowych, karabiny ręczne, granaty, rewolwery, broń sieczną. Oręż ma należeć do

związku „Białych Kapturew”. Kapturowcami są rzekomo byli członkowie „Krzyża Ognistego” i zwolennicy króla. O „Białych Kapturech” Francja wiedziała już dawniej. Urzędowo donoszą, że spisownicy mieli zaprowadzić dyktaturę, a potem obwołać monarchię.

Były wódz „Krzyża Ognistego”

pułk. de la Rocque przez brak stanowczości, zwleknięcie z uderzeniem na lewicę i jałową gadaninę przyczynił się do powstania ludowego frontu.

Zyd Zay, min. oświaty we Francji, nazwał go „ojcem frontu ludowego”. W procesach de la Rocque'a z narodowcami o zniesławienie jego osoby, wyszło na jaw, iż pan pułkownik brał pieniądze od dawnych centrowo-lewicowych rządów i z tego się swoim stronnikom nie spowiadał. Ale też żadnego rządu nie próbował obalić. I dziś jest w oczach Francuzów „pogrążony”.

Japończycy po zajęciu Szanghaju

posunęli się przeszło o 100 kilometrów na zachód w stronę Nankinu, zajmując po drodze miasto Suzhou (125 tys. mieszk.). Rząd chiński przeniósł się częściowo z Nankinu do Czungking (bardzo daleko) i zwrócił się do sowietów o pomoc, do Włoch zaś o pośrednictwo pokojowe.

Chiny w ogniu walk



Mapka przedstawia znaczną część Chin z terenem objętym wojną. Na północno wschodniej stronie, oznaczone strzałką posuwają się na zachód od Kałganu ku Paotou. Druga armia japońska doszła od Pekinu aż do krańca prowincji Szansi, do miasta Kiang i Czangte. Trzecia armia japońska idzie od Tientsinu ku rzece Żółtej (Hoang-ho po chińsku) i doszła do m. Juczeng. Na froncie szanghajskim Japończycy dotarli do jezior i prą na Nankin.

Odpowiedzi Redakcji

Wierna Abonentka: Nie możemy spełnić życzenia. — **K. Hol. Kasz:** Musimy uwzględnić życzenia wszystkich czytelników. Często pp. gospoście i służące życzą sobie takich właśnie przepisów gospodarskich, pragnąc uzupełnić swoją umiętność. — „Zelazo.” Rękopis „Huta idzie” otrzymano dn. 12. 10 b. r. — **W. Tarnowiec.** Ogłoszenia, o jakie Pani pyta, zwykle pozostawają bez skutku.

Wobec bardzo licznych zapytań ze strony konsumentów o chrześcijańskie źródła zakupu Związek Polski (Związek Popierania Polskiego Stanu Posiadania) uprasza wszystkie fabryki, wytwórnie i hurtownie chrześcijańskie w Polsce, o nadesłanie dokładnych adresów z wyszczególnieniem wyrobionych artykułów ew. znajdujących się na składach

towarów, pod adresem: Związek Polski, Zarząd Okręgowy, Warszawa, Krak. Przedm. 41 m. 4. Katalogi pożądane.

Poznański Okręg Wojewódzki LOPP, podaje do wiadomości młodzieży zainteresowanej modelarstwem, że modelarnia Okręgu przy ul. Piekary nr 16/17 jest czynna i kursy zostały rozpoczęte. Modelarze mają do dyspozycji modelarnię, narzędzia i pracują pod nadzorem instruktora, który udziela wszelkich wskazówek. Kursy są bezpłatne, biorący udział w kursach pokrywają jedynie koszty materiału, przez nich zużytego.

Zgłoszenia przyjmuje codziennie za wyjątkiem niedziel Modelarnia Okręgowa, ul. Piekary nr. 16/17 parter od godz. 18-20

Każdemu abonentowi przysługuje bezpłatna porada prawna.

Do naszych abonentów pocztowych!

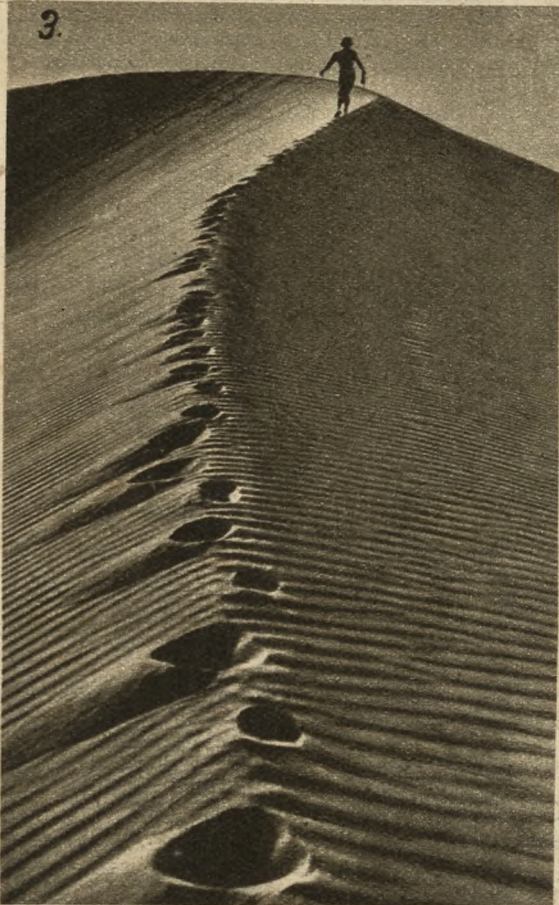
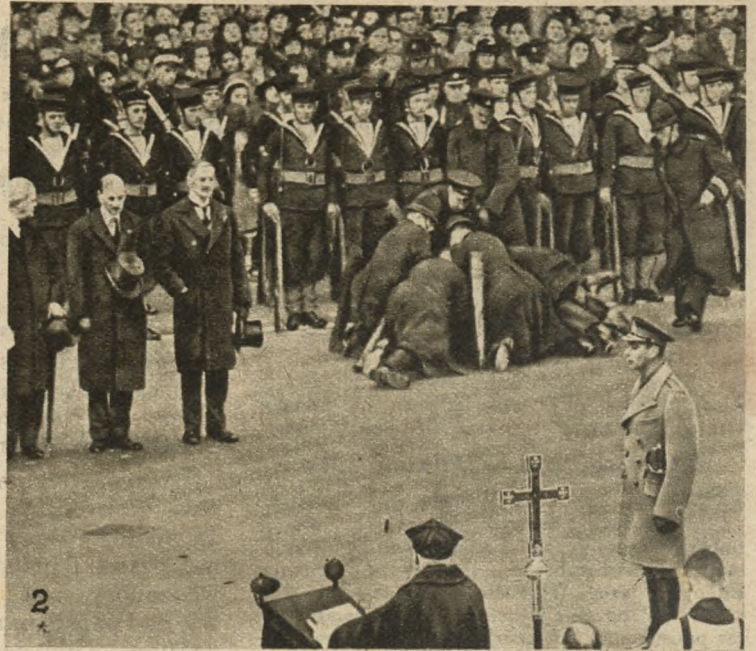
Już czas najwyższy

na wznowienie przedpłaty pocztowej, gdyż tylko do 10 b. m. przyjmują listowi zlecenia na miesiąc grudzień.

Uprzejmie więc prosimy o przyspieszenie celem uniknięcia przerwy w dostawie.

Adoracje N. S.

5. Grzybowo i Morawin. 6. Jarząbkowo. 7. Imielno. 8. Kościół św. Jana Vianney Poznań i Kędzierzyn. 9. Kiszkowo. 10. Marzenin. 11. Niechanowo



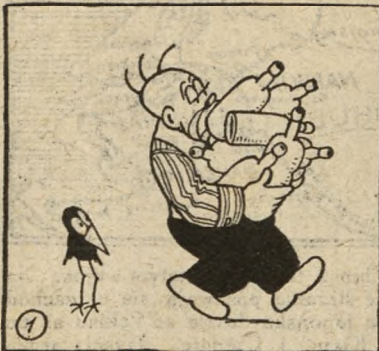
1. W domu rekolekcyjnym w Skrzyszewach, archid. warszawska, odbyły się rekolekcje zamknięte z jednodniowym kursem współpracy z Akcją Kat. pp. organistów archidiec. warszawskiej.

W zakończeniu wzięli udział obaj polscy Księża Kardynałowie, Ks. Kard. Prymas Aug. Hlond i Ks. Kard. Kakowski, arcybiskup warszawski.

2. W Londynie, w czasie obchodów z okazji rocznicy zawieszenia broni w dniu 11. XI. usiłowano dokonać zamachu na króla Jerzego VI. Zamachowca zdołano natychmiast unieszkodliwić. Król zachował niewzruszony spokój. (L'illustration.)

3. Zabiłkana w pustyni wchodzi na szczyt pagórka, jaki wiatr nasypał z piasku. Chce zdobyć możliwie wysoki punkt, skąd łatwiej ujrzeć ją może policja pustynna.

4. Miejsce katastrofy belgijskiego samolotu pod Ostendą. Zginęła tam cała rodzina księcia heskiego. (Presse Photo - Berlin)



Znacie już mego wroga — Spryciarz to wielki! Wypatrzył oczkiem chwile, Gdym niośi butelki.



Słał mi na głowie, szelma, I — do igraszki! Rękami go nie spędzę, Bo zbliż faszki.



Wreszcie przysła mu chętką Niesamowita; Bezcelny, dzióbem za nos, Za mój nos chwytali!



Puściłem z bólu faszki — Wszystko się tłucze... Gnam wóclekly — Oczekaj, totrze, Ja cię nauczę!!

Wyzyskanie sytuacji

„PRZEWODNIK KATOLICKI” ILUSTROWANY TYGODNIK DLA RODZIN KATOLICKICH

z bezpłatnym dodatkiem dla dzieci „MALY PRZEWODNIK” oraz z osobnymi działami „ROLA I OGROD” i „SPRAWY KOBIECE”.

Przedpłata kwartalna wynosi za egzemplarze osobicie odbierane w ekspedycji naszego pisma i agencjach poznańskich 1.70 zł. Za egz. wysyłane wprost z Administracją w opasce pod adresem imiennym, w ilościach od 1 do 9 egz. po 2.40 zł, od 10 do 59 egz. po 2.20 zł, od 60 egz. wzwyż po 1.90 zł za egz. — Dla abonentów pocztowych (bez opaski) przedpłata kwartalna wynosi 2.30 zł, miesięczna 80 groszy, łącznie z kosztami manipulacyjnymi.

Pocztowe konto czekowe: Poznań P. K. O. nr 206 004 „Przewodnik Katolicki”. Konto pocztowego obrotu rozrachunkowego: Poznań III, Nr. 014.

W sprawach dotyczących rękopisów i w sprawach redakcyjnych prosimy zwracać się wyłącznie do Redakcji, w sprawach odnoszących się do przedpłaty, ekspedycji, pokrycia należności oraz ogłoszeń — wyłącznie do Administracji „Przewodnika Katolickiego” w Poznaniu, Al. Marcinkowskiego 22, nie zaś pod osobistym adresem X. Redaktora.

Redaktor odpowiedzialny: mgr Stanisław Krokowski w Poznaniu. — Za reklamy odpowiedzialny: Ignacy Domański w Poznaniu.

W razie wypadków, spowodowanych siłą wyższą, przeskód w zakładzie, strażków i t. p. wydawnictwo nie odpowiada za regularne dostarczanie pisma i abonenci nie mają prawa domagać się niedostarczonych numerów lub odszkodowania. Nakładem i czcionkami Drukarni i Księgarni św. Wojciecha Sp. z o. o. w Poznaniu — na papierze z własnej fabryki „Malta”.

Telefony 26 78, 22 41, 36 13, 36 14, 31 27